Ж IV
39894

ZESZYT 6.

ROK II. :: ::

Kraków, dnia 11 lutego 1911.

TYGODNIK NARODOWY

ILUSTROWANY

Kwartalnie 13 zeszytów tylko 2 kor. 40 hal.

W ajencjach 2 kor. 70 hal.

Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“ przesyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie ulica Wiślna 2.

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal. Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartalnie **2** kor. **70** hal. Pojedyńczy numer **24** hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie koron **8,** rocznie koron **16.**

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112,905.

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: :: :: **Przedpłatę** rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.** ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przesyłać na ręce **Administracji** „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupczyca). — W ajencjach na prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza 1-łamowego petytem **30 hal.** Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana Hupczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. **112 905**

ЛННБ України ім. В. Стефаника
0152432241

Biuro Dzienników
MARYANA HUPCZYCA
Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340
przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
do wszystkich dzienników.
Wielki wybór artystycznych kart z widokami.



L. 10. Męski ankr. remontoir. Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk. bardzo dobrze idący na min. wyregulowany. Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie katalog ilustr. zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich, chińsk. srebra, przyborów, narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych 6
F. Pamm, Kraków, Zielona 103

Rocznik XIV. **Rok 1909.**

„RODZINA I SZKOŁA“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszem pismem pedagogicznem polskiem.

„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła **galicyjska** c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi a **śląska** c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na **Śląsku** oraz **bukowińska c. k. Rada szkolna krajowa** w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na **Bukowinie.**

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i hygienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i hygienicznej w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskiem i katolickiem.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje **rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt pojedyńczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.**

Numera okazowe wysyła na żądanie otwrotną pocztą i opłatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)

Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko, miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi, „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane **6 Mk.**, oprawne **7 Mk.** (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“ z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM aptekarza THIERRY'EGO
Naśladownictwo prawnie wzbronione.

Prawdziwy jedynie z **zakonnicą**, jako **marką ochronną.**



Niezawodny środek przeciw wszelkim chorobom piersi i płuc, leczy kaszel, legmę, chrypkę, zapalenie gardła, kurcze żołądka i wszelkie bole żołądkowe, zapalenie wszystkich organów wewnętrznych, brak opetytu, złe trawienie, zatwardzenie; zewnętrznie leczy wszelkie choroby ust, ból zębów i oparzeliny, tarcie w kościach, wyrzuty, przedewszystkiem influenzę. 12 małych, lub 6 dużych podwójnych, albo jedna wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚĆ CENTYFOLIOWA aptekarza THIERRY'EGO

jedynie prawdziwa, zadziwiający, niehybny i niezrównany środek przeciw zastarzałym nawet ranom wrzodom, zranieniom, zapaleniu, chorobom nóg, ropieniu, wyciąga wszelkie obce ciała i usuwa ropnik, zapobiega bolesnym operacyom. Dwie puszki K. 3.60.

Zamówienia do **Apteki pod Aniołem Stróżem A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch.** 6

Jan Ihnatowicz
poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitym skutkiem do mycia i utrzymania w czystości skóry na głowie. Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.

OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, mille-fleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy, posiada zapach przyjemny i nie jełczeje. Słoik 1 k

PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia włosów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.
KRAKÓW — Sukiennice 20.
PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

IV
Jc 30897

Nr. 6. Kraków, dnia 11 lutego 1911. ROK II.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Trójzaborowe pranie brudów dookoła Rydzyny.

Bohaterzy handlu rydzyńskiego, rozproszeni po całej ziemi polskiej, po wszystkich trzech zaborach, poruszyli niebo i ziemię, by zmyć z siebie hańbę tej niebywałej frymarki. Handlarska spółka, złożona z hrabiów, żydów i adwokatów, przydepnięta ciężką stopą opinii, wije się, jak może, by zbałamucić społeczeństwo, a potem w spokoju używać milionów i tysięcy odczepnego, jakie rząd pruski łaskawie im dać raczył za polską ziemię.

Zaczęła się ta komedya prania brudów w Krakowie, dalszy ciąg nastąpił w Poznaniu, a koniec rozegrać się ma w Warszawie czy Petersburgu.

W Galicyi pan hrabia Antoni Wodzicki, pięknym Toniem zwany, poratowawszy swą birbantkami i hulankami nadszarpaną kieszeń talarami pruskiemi, chciał nadal grać rolę wielkiego człowieka i niemniejszego patryoty, ufny w swe stosunki familijne, w swe członkostwo austryackiej Izby panów. I trzeba było występu nędznego socyalisty, by uczynić larum przeciw potężnej kreaturze, zdobiącej się koroną hrabiowską. Z miną dotkniętego w godności swej senatora rzymskiego zwołał wówczas pan hrabia „radę“, w skład której weszli zaproszeni przez niego dobrzy znajomi, towarzysze birbantek jego, choć ludzie o niemniej głośnych tytułach, — i orzekli, że hrabiemu Wodzickiemu nie można czynić żadnego zarzutu. Nie wiemy, jak się ta „rada“ odbyła, czy przy szampanie, czy też przy kartach, lub z okazyi polowania — historya milczy bowiem o tem dotychczas —; w każdym razie jest pewnem, że w naszych czasach, gdy w rzeczach publicznych szary tłum, na który hrabiowie Wodziccy patrzą z góry, czuje się obywatelem, takie rzeczy nie uchodzą. Nie łudził się też hr. Wodzicki zapewne, że po tej naradzie „posłów i ziemian“ ogłoszony zostanie od razu conajmniej świętym, lecz był wszakże przekonany, że „tłum“ zamilknie, a krakowska Rada miejska, w której ów niecny socyalista śmiał sprawę tę poruszyć, nie odważy się badać sprawy gruntownie. I bardzo się nie pomylił, bowiem komisya, wybrana celem rozpatrzenia winy hr. Wodzickiego umyła niemal ręce i oddała sprawę do rozstrzygnięcia całej Radzie krakowskiej. Jak ta się załatwi, nie można na razie rozstrzygać.

Tak stoi dotąd sprawa w Krakowie, w Poznaniu posunięto ją o wiele dalej: dr. Dziembowskiego uznano czystym, jak łza, a i hr. hr. Wodzicki i Potocki, a niemniej zmarły książę Antoni Sułkowski mogą być z wyniku sądu zadowoleni.

Wyroku nie będziemy powtarzać, gdyż znany on jest z pism codziennych. Zaznaczamy jedynie, że cała prasa demokratyczna, a więc cała prasa zaboru pruskiego z wyjątkiem naturalnie przybocznego organu dr. Dziembowskiego, „Gońca Wielkopolskiego“, orzekła, że wyrok ten jej nie zadawalnia. W rezerwie pozostał „Dziennik Poznański“, który niechybnie byłby był ze swej strony napisał kilka słów satysfakcyi dla dr. Dziembowskiego, gdyby o zupełnej jasności i słuszności wyroku był przekonany. Bliska dr. Dziembowskiemu przekonaniami prasa katolikowa zachowała się podobnie, jak „Dziennik Poznański“. Te zaś pisma, które nie wystąpiły wyraźnie przeciw wyrokowi, podały treść wyroku, podkreślając silnie zastrzeżenia jednego z członków sądu, który był zdania, że nie należało tracić wszelkiej nadziei co do możliwości uratowania Rydzyny, oraz że dr. Dziembowski postąpił sobie conajmniej lekkomyślnie.

O ile zastrzeżenia te, wyszczególnione we wyroku, są natury bardzo ciężkiej, o tyle większy zarzut uczynić można całemu uchwyceniu wyroku. Na pozór sąd zajął się sprawą całą bardzo gruntownie, rozpatrując wszystkie jej momenty, ale tymczasem pominął najważniejsze. Przyczyny, dla której rząd pruski dał hr. hr. Wodzickiemu i Potockiemi $4^1/_2$ miliona marek, mimo, że rzekomo

Львівська Бібліотека
АН УРСР

nie było żadnych nadziei co do uratowania Rydzyny, nie poruszył sąd wcale. A przytem zapatrywał się sąd na sprawę rydzyńską jak na prosty handel, powiadając sobie: „Rydzyna musi przejść w ręce rządu (co do tego jeden z sędziów był innego zdania), jeżeli więc interesowani wytargowali sobie $4^1/_2$ miliona marek, to to ani społeczeństwu, ani jednostkom szkody nie przyniosło". Pomijając już sprawę owej „pewności", że Rydzyna musi przejść w posiadanie rządu pruskiego, — co do tego są adwokaci, niemniej dzielni od dr. Dziembowskiego, innego zapatrywania — zaczepić należy to, iż podobne zapatrywanie, czysto handlarskie, nie powinno być podstawą przy sądach, rozstrzygających o frymarce ziemią. Każdy kiep-kolonizator, każdy pierwszy lepszy łotr-sprzedawczyk mógłby sobie wówczas powiedzieć: Majątek mój jest już tak zabagniony, iż niema żadnej deski ratunki; ma dopiero przyjść do subhasty, to wolę sprzedać go Komisyi kolonizacyjnej.

Gdyby podobne zdania w Księstwie przeważyły, doszłoby z pewnością do pięknych stosunków! Jest to wprost hańbą dla członków sądu w sprawie rydzyńskiej, że mogli stanąć na takiem stanowisku.

Ale dr. Dziembowskiemu wyrok ten wystarczył zupełnie. Dla zademonstrowania, że sąd oczyścił go zupełnie, palnął kilka dni po ogłoszeniu wyroku w Parlamencie mówkę na rzecz uciśnionej polskości w sądownictwie, a blizcy mu duchem klaskają brawo, zachwycając się nad dzielnością pana posła. Oklaskują go bracia duchowi nietylko pod zaborem pruskim, lecz echem oklasków tych rozbrzmiewa także Królestwo i Galicya.

Klasycznym wprost jest *„Czas"* krakowski, którego tryumf dr. Dziembowskiego, a co poza tem idzie gagatka jego, hr. Wodzickiego, rozczulił do głębi serca. Aby nadać wyrokowi większe znaczenie — a tem samem przygotować grunt pod podobny wyrok w krakowskiej Radzie miejskiej, — wylicza on sędziów po imieniu, dodając wszelkie tytuły, jakie oni mają, a nawet — nie mają. Tak urabia się dla handlarskiej spółki hrabiowsko-adwokacko-żydowskiej opinię.

Jako ostatni ma się odbyć sąd honorowy przeciw hr. Potockiemu z Warszawy. Zdaje się, że on nie ponosi tyle winy, co hr. Wodzicki, tu więc sprawa będzie tem łatwiejszą. Grunt będzie już zupełnie przygotowany.

Cała sprawa tego trójzaborowego prania brudów rydzyńskich robi wrażenie komedyi, a raczej smutnego dla nas dramatu. Ale komedya ta nie zdoła się długo utrzymać na scenie. Sąd społeczeństwa o niej jest już dawno ustalony, a historya dokona reszty. Ona przedstawi dopiero frymarkę rydzyńską w prawdziwem świetle, jako nową Targowicę.

Drobne wiadomości z kraju.

— **Wiec urzędników podatkowych** odbył się we Lwowie przy bardzo licznym udziale uczestników. Po wygłoszeniu przez p. Reicha bardzo ciekawego referatu, oraz po ożywionej dyskusyi, uchwalono jednomyślnie następującą rezolucye: „Zebrani na wiecu krajowym urzędnicy podatkowi domagają się: 1) Ze względu na nader ważną, trudną i odpowiedzialną służbę, oraz ze względu na socyalne stanowisko w hierarchii urzędniczej i w społeczeństwie przyznania im cenzusu szkół średnich z świadectwem dojrzałości, — 2) ze względu na rozpaczliwe położenie materyalne, powodowane stagnacyą awansów i nadmierną drożyzną, polepszenia stosunków awansowych i jaknajrychlejszego wprowadzenia czasowego awansu z uwzględnieniem ogólnej ilości lat służby".

— **Metropolita hr. Szeptycki,** jak wiadomo, złożył urząd wicemarszałka Sejmu galicyjskiego. Ustąpieniu temu przypisuje „Wien. Sonn und Montags Ztg." znaczenie groźby. Mianowicie metropolita Szeptycki, protektor ruchu ukrainofilskiego, złożył urząd ten dla tego, ponieważ nie chce brać odpowiedzialności za wypadki, które mogą nastąpić w Sejmie, gdyby żądaniom rusinów w sprawie uniwersytetu i w sprawie reformy wyborczej większość sejmowa nie uczyniła zadość. Spodziewać się więc można na podstawie tych informacyi nowych awantur hajdamackich.

— **O fałszowaniu spisu ludności** dochodzą coraz to nowe jaskrawe szczegóły. I tak w Mor. Ostrawie, Przywozie, Maryańskich Górach i Witkowicach, odbyły się w ub. niedzielę tłumne zgromadzenia, na których po stwierdzeniu krzyczących nadużyć, uchwalono protesty i rządania, aby rząd przeprowadził kontrolę spisu w całym Zagłębiu Ostrawskim.

Uczmy dzieci nasze i sąsiadów czytać i pisać po polsku...

Wtajemniczajmy je w krzepiące ducha i serce dzieje narodu naszego...

Uczmy dzieci być Polakami o silnym charakterze, o woli niezłomnej, nieugiętej.

Jesteśmy Polakami.

Bawiący w Polsce korespondent pisma angielskiego prof. Dorsey, opisując zwyczaje i obyczaje w Polsce, wyraża z naciskiem przekonanie, że Polacy gdziekolwiek są — zawsze zostają Polakami. Asymilowanie, czyli wchłanianie w obcy organizm Polaków jest wprost niemożliwe, bo chyba żaden naród w świecie nie jest tak przywiązany do swej ojczyzny, tradycyi, zwyczajów, obyczajów i języka, jak właśnie naród polski. Polak, zdaniem p. Dorsey'a, choć nawet zmieni zewnętrzny wygląd, t. j. zarzuci płótniankę, kapotę, długie, ciężkie buty czy kerpcie i kapelusz z pawiem piórkiem, to bynajmniej przez to nie przestaje być Polakiem, lecz jeszcze więcej czuje zamiłowania do swojego narodu i najchętniej ze swoimi przestaje, pilnie pielęgnuje język ojczysty i krzewi patryotyzm.

Że tak jest z nami, to fakt niezaprzeczony. Polak bowiem, gdziekolwiek się znajdzie, nie przestanie być Polakiem i daremnem byłoby kusić się o zlanie go z żywiołem obcym. Temu widocznie przyrodzonemu darowi natury mamy do zawdzięczenia, że żyjemy jako naród i zamiast słabnąć liczebnie oraz w uczuciach patryotycznych — my potężniejemy z dniem każdym.

Niema narodu w świecie, któryby rozdarty na trzy części przez trzech różnych wrogów i żyjący w trzech odmiennych kulturach, potrafił tak zachować swoją samoistność, jak właśnie gnębiony naród polski.

Tego jednak zdawali się nie widzieć swoi, aż zobaczyli... obcy. Obcy badacze naszych dziejów, rozwoju kulturalnego, literatury, artyzmu ze zdumieniem spostrzegli, że ten naród, którego państwo przemoc wymazała z mapy Europy, jednak promienieje jak jasna gwiazda i swoje blaski rzuca na świat cały. Zdumieli się obcy, że naród ten pod obuchem obcych rządów, co mu zakazują uczenia się i mówienia w ojczystym języku, mówi jednak doskonale po polsku pod każdym zaborem i na wychodźtwie, że ten naród polski mając wyrzucony język swój ze szkół, urzędów i publicznych zebrań, ma jednakowoż bogatą literaturę i poezyę; ma swój dramat rodzimy, muzykę, pieśń i sztukę polską; że w każdem drgnięciu pracy społecznej odzywa się swojska, polska nuta.

Spostrzegli to u nas pierwsi Francuzi, zauważyli Włosi, a teraz zastanawiają się nad tem Amerykanie z drugiej półkuli. którym się nawet w głowie pomieścić nie może, jak naród rozdarty na trzy części, ograbiony ze wszystkiego, szykanowany na każdym kroku może żyć, rozwijać się, wzmagać liczebnie i posiadać tak wysoką kulturę własną oraz odporność na obce wpływy nie tylko w ojczystej ziemi, ale i na wychodźtwie. Amerykanin dziwi się, że pierwsi obywatele Ameryki — Indyanie różnych szczepów padli pod obuchem obcej kultury, marnieją i wygasają powoli; że nawet Hiszpanie, Holandczycy, Niemcy i inne ludy wpierw tam osiadłe, powoli uległy rasie anglosaskiej, zlały się z nią i przeobraziły w nowe społeczeństwo, a tylko twarda odporna rasa słowiańska, a między nią najodporniejszy szczep polski urąga poprostu obcemu zalewowi — ba, nawet staje mu się groźnym...

Dziękujemy niebiosom, że nam dały tę siłę żywotną, tę odporność i to umiłowanie wszystkiego — co polskie. Inaczej bowiem biada by nam było, gdyż do tej pory po po Polakach nie pozostałoby ani śladu. Wiedzą o tej naszej sile i odporności wrogowie nasi, pienią się oni i obmyślają najrozmaitsze środki, w celu, jeżeli już nie zgniecenia nas, to przynajmniej powstrzymania w rozroście i postępie narodowym — lecz wszystko daremnie. Byliśmy od wieków, jesteśmy i będziemy Polakami, bez względu, gdzie nas losy rzucą i w jakiem znajdziemy się otoczeniu.

Duma o Samuelu Koreckim.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi,
Dumał mąż groźny, pełen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi
Zobaczy progi?
W trzynastu bitwach grzmieniem nieslychanem
Gnębił dzicz, stare grabiąc jej zabory...
Cóż, kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Ledz u Cecory!
Raz z ośmset braćmi w krąg go obegnano,
Pięć dni go siekli groźni najezdnicy,
Aż, zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną
Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
— Nikt — odrzekł Samuel — sam tak chciałem.
[U mnie
Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed Prorokiem czoła...
— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie;
Lecz wkrótce więzień, omyliwszy straże,
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z po za świata, co choć rad, a przecie
Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora! Wstrząsł się i — o dziwo!
Zadrżał mąż groźny!... On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczeń zatknięto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszalały
Ryczące wściekle głębie bosforowe
Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mdławe
[brzaski?
Chrzęsły wrzeciądze. — Kto tam? — Czausz sułtana
Wchodzi, zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy cofnął lica blade —
To, co rzekł zwiastun, snać złe jakieś knowa...
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alić tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły —
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A w tem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści,
Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie
Pierwszego z brzegu ściąwszy młotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja, Samuel nie zna trwogi!
Dwunastu było — wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne drągi garść rozwściekła imie
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany,
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża.
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany, ale nie ugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibądź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki...

F. Faleński.

WYTRWAMY!...

Zeszli się w mieszkaniu starego wodza. Stawili się wszyscy członkowie deputacyi, która poprzedniego dnia, w sali pałacu Luksemburskiego, złożyła Dyrektoryatowi Republiki Francuskiej trzydzieści pięć sztandarów, zdobytych na nieprzyjacielu. A więc generał Kniaziewicz, szef Drzewiecki, kapitan Kosecki, Jan Dąbrowski, syn dowódcy legionów i dwaj towarzyszący mu grenadyerzy. Po szumnych przyjęciach i ucztach, na ich cześć urządzanych, na których na zimno zachwycano się męstwem Polaków, przyszli oto na skromny obiad do swego dawnego Naczelnika, który aż z Ameryki przybył do stolicy Francyi, w nadziei, że zdoła wykołatać pomoc dla Polski.

Szron siwizny ubielił już włosy Naczelnika — na jego twarzy widne ślady cierpień, przebytych w więzieniu. Wie stary wódz, że po Francyi wiele spodziewać się nie można; że może bez pożytku dla ojczystej



W obronie sztandaru.

sprawy leje się krew polska na italskich polach. Niemało przelało się tej krwi. Napróżno wszystko, napróżno! Nie zdołał wywalczyć swobody Ojczyźnie — dziś musi żebrać dla niej pomocy u dyrektorów Republiki.

Westchnienie wyrywa się z piersi wodza „upadłej sprawy."

Otwierają się drzwi i wchodzą legioniści. Wchodzą w swych czworograniastych czapach, trójbarwną kitą ozdobionych, w granatowych mundurach, — na ramionach srebrne szlify, przez plecy błyszczące ładownice przewieszone. Z rozrzewnieniem, ze łzami w oczach witają Kościuszkę.

Na widok bratnich mundurów, na dźwięk ojczystej mowy, ożywił się stary wódz. Każdemu głowę ściskał, do piersi ich tulił, z całą serdecznością gościł ich u swego stołu.

Rzewną była ta skromna uczta i stokroć milszą od urzędowych bankietów. Zgromadzili się tu sami swoi, sami tacy, których troska o los ojczystego kraju do stolicy Republiki przywiodła. Rozwiązały się języki, rozchmurzyły czoła, zaczęto wspominać dawne boje, układać nowe plany, rozważać sytuacyę polityczną.

Pod koniec obiadu, gdy kielichy winem nalano, Kościuszko wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju i wrócił, niosąc szablę w ręku. Zbliżył się do generała Kniaziewicza i rzekł:

— Przed kilkoma dniami, rząd francuski ozdobił cię, generale, szablą honorową. Tę oto szablę otrzymałem w darze od zacnego monarchy, od króla szwedzkiego, z życzeniem, bym raz jeszcze poprowadził rodaków moich na boje za kraj ukochany. Losy nie dozwoliły mi już stanąć na waszem czele. Oddaję ją w twoje ręce, stary druhu — przyjm ją na pamiątkę dnia dzisiejszego. Wy zaś, drodzy rodacy — do obecnych się zwrócił — wytrwajcie! Dziś nie rozsądzajcie, czy źle, czy dobrze czynicie, służąc pod sztandarami Francyi. Tak czy owak, jeśliście

się już ofiarowali służyć sprawie Republiki, mimo wszystko wytrwajcie! Legiony — to twarda szkoła żołnierska — tam zahartuje się i wzmocni duch narodu. Niech dzieje legionów będą jedną z najpiękniejszych kart historyi naszej. Kiedyś potomność oceni trudy i poświęcenie wasze i zrozumie, że spełniliście swą powinność; że szliście drogą, którą spodziewaliście się dojść do niepodległej Ojczyzny. Niech potomność powie o was, że postępowaliście, jak na prawych żołnierzy przystało; że nie żałowaliście krwi własnej; że ustrzegliście honoru narodowego znaku. Dlatego proszę was — wytrwajcie!...

Legioniści powstali z krzeseł.

— Wytrwamy Naczelniku! — wołali z zapałem — wytrwamy!

Kościuszko podniósł nalany kielich i ujął dłoń Kniaziewicza.

— W twoje ręce i Dąbrowskiego składam losy tej garści wiernych synów Ojczyzny. Obyście doprowadzili ich z bronią w ręku, w tryumfie, pod ojczyste strzechy. Wznoszę toast na cześć legii i jej wodzów, Kniaziewicza i Dąbrowskiego!

Wypił wino i zanucił drgającym ze wzruszenia głosem:

Marsz, marsz Dąbrowski!
Z ziemi włoskiej do Polski...

Kniaziewicz obnażył szablę i wzniósł ją w górę.

— Wytrwamy Naczelniku! Nie opuścimy narodowej chorągwi! Imię twe będzie nam tarczą i bodźcem do sławy!

I dotrzymali przyrzeczenia.

Gdy po traktacie lunewilskim, w którym ani słówkiem nie wspomniano o Polakach, niewdzięczna Francya przekształciła legie na półbrygady, a zrozpaczeni oficerowie gromadnie chcieli się podać do dymisyi, generał Kniaziewicz odwiódł ich od tego kroku. Pojechali na spróchniałych i dziurawych okrętach na San-Domingo, gdzie żółta febra dziesiątkowała ich szeregi, gdzie kazano im walczyć z dobijającymi się wolności murzynami. I tam nawet, u murzynów, zdołali wzbudzić cześć dla polskiego imienia. I Murzyni uszanowali biednych tułaczy. Wódz ich, Dessalines, najwaleczniejszą brygadę wojsk swoich nazwał „Polakami".

Po wypędzeniu Francuzów z San-Domingo, tej wyspy tragedyi, pełnej dantejskich scen, przeważna część wiarusów poszła w niewolę angielską i przez pięć lat znosiła najsroższe katusze, na osławionych pontonach.

Za życia przeszli przez piekło, a przecież dotrwali!...

Tadeusz Zubrzycki.

****

Zwyczaje karnawałowe.

Wyraz „karnawał" jest pochodzenia łacińskiego, składa się z dwóch wyrazów: caro, co znaczy — mięso i vale — bywaj zdrów. W krajach katolickich okres karnawałowy obejmował czas od Trzech Króli do Środy Popielcowej; później jednak trwanie karnawału ograniczono: w Rzymie do dni 10 od Niedzieli Mięsopustnej do Popielca, w Medyolanie — do Niedzieli Invocavit (szósta niedziela przed Wielkanocą), nad Renem do ostatnich 8 dni przed Popielcem i t. p. Czas karnawałowy wszędzie poświęcony bywa przeróżnym zabawom, zwłaszcza we Włoszech, gdzie karnawał jest uroczystością ludową.

Do najulubieńszych zabaw karnawału rzymskiego należą t. zw. „confetti". W Portugalii obrzucają się wzajemnie w tym czasie bobami i grochem, a nieostrożnych obsypują mąką lub oblewają wodą. W Limie, w Peru, podczas karnawału przyjęto powszechnie zwyczaj oblewania przechodniów wodą, przytem niezawsze czystą. W Czechach lud bawi się wtedy oprowadzaniem niedźwiedzia, t. j. człowieka, owiniętego w grochowiny, urządzaniem maskarad, wreszcie w ostatnim dniu karnawału — sprawianiem Bachusowi pogrzebu; prócz tego zajada się pączkami i innem ciastem smażonem, a kończy tańcem. W Rzymie podczas karnawału urządzane bywają nadto corsa, t. j. defilady strojnych powozów, a kończy go zazwyczaj maccoletti, t. j. uroczystość ognia. O zmroku wszędzie zapalają światła w oknach, na balkonach, w powozach. Każdy niemal przechodzień na ulicy trzyma w ręce świecę woskową, a cała zabawa polega na ich gaszeniu wzajemnem i zapalaniu na nowo.

W południowym Tyrolu włoskim na zakończenie karnawału palą jego symbol — wiązkę słomy i drzewa. Ludność tworzy podówczas dwa rzekomo sobie wrogie obozy: jeden przywdziewa szaty arlekińskie barwne, drugi — białe i walczą z sobą dokoła stosu, na którym płonie słoma z drzewem. W Tyrolu wyższym odbywają się



niezmiernie oryginalne pochody, zakończone tańcem i ucztą. W orszaku takim uczestniczy najmniej 250 osób, najdziwaczniej przystrojonych. Orszak wyrusza z domu leśniczego, na czele zaś jego postępuje przewodnik, przebrany za odwieczne drzewo. Za nim idzie z wielką latarnią „poszukiwacz karnawału". Dalej pasterze i pasterki w malowniczych strojach, przystrojeni kwieciem alpejskiem. Z kolei dąży gromada wesołków, w fantastycznych kostyumach, obwieszonych dzwonkami i brzękadłami; mają oni wyobrażać stado bydła. Charakterystycznym szczegółem ich kostyumów są wysokie na metr i więcej nakrycia głowy, ozdobione symbolami polowania i rybołóstwa, miniaturowemi wyobrażeniami zamków i zwierząt bajecznych. Za nimi kroczy chorąży karnawału, z niewielkiemi proporcami ale za to z równie wysokiem przybraniem głowy. Dalej postępują wieśniacy, znów wesołkowie z niedźwiedziem, to przebrani za Cyganów, za ludzi dzikich i t. p. Znalazłszy się przed domem najpoważniejszego gospodarza, pochód zatrzymuje się, tworzy wielkie koło, do którego środka wchodzi ów gospodarz z małżonką, wita gości, pije za ich zdrowie, poczem kubek próżny rzuca do góry wśród ogólnego okrzyku. Teraz zaczyna się oryginalny taniec, coś w rodzaju pantominy, przeplatany poczęstunkiem.

W Wiekach Średnich, przepychem i pewną nawet wspaniałą powagą swego karnawału odznaczała się Wenecya, a z chwilą jej upadku w XVIII wieku, Rzym zaczął przodować pod tym względem. Według podobnych wzorów, lubo w skromniejszych rozmiarach, obchodzono karnawał i w innych miastach włoskich, a także w Hiszpanii, Francyi i w Niemczech. We Francyi podczas karnawału odbywa się pochód uroczysty Boeuf gras — oprowadzają po ulicach tłustego byka z pozłoconemi rogami, przybranemi we wstążki. W Paryżu, w Ostatni Wtorek, na drodze powrotnej z zabawy do domu istniał zwyczaj mówienia sobie prawdy bez ogródki i bez oszczędzania się wzajemnego; powrót ten nazywał się la Descente Courtille.

Intermedya i interludya towarzyszą karnawałowi niemieckiemu od XIII do XVIII w. W końcu XVIII i na początku XIX w. uroczyste obchodzenie karnawału rozszerza się na miasta nadreńskie, francuskie i niemieckie: w Monachium, Dyseldorfie i innych miastach, odbywają się pochody maskowe i symboliczno, w Moguncyi zaś, Bolonii, Norymberdze i Kolonii, prawdziwie ludowe farsy, „Hanswursty" i błazeństwa. W krajach protestanckich karnawał obecnie polega na balach maskowych, maskaradach i tańcach. W Polsce zapusty niegdyś hucznie bywały obchodzone; maski, reduty, pochody, kuligi, przebierania się, panowały powszechnie; obecnie karnawał u nas cechują: maskarady i bale, pączki i faworki.

Pojedyńcze dni karnawałowe noszą różne nazwy u różnych ludów. U nas były i są: Mięsopusty, Tłusty Czwartek, Szmalcowa (Zapustna) Niedziela, Ostatni (Błękitny, Błazeński) Poniedziałek, Ostatni Wtorek czyli Zapusty. Zwyczaje



Mazur.

i formy, w jakich odbywa się karnawał aż po dzień dzisiejszy, przypominają już to starożytne Lupercalie, Saturnalie i Bacchanalie Europy południowej, jużto uroczystości pogańskie „funlowe“ ludów północnych.

Świat zagadek.

Istnieje świat zjawisk dziwnych, niepojętych z dziedziny zjawisk, z któremi rzecz się ma dość osobliwie.

Znaczna większość oświeconego ogółu nie wierzy w te „brednie“, uważając, że wszelkie ba-

dania naukowe byłyby na miejscu w danym razie, inni znów, wierząc bezkrytycznie w te dziwy, kontentują się wiarą. I tylko tu i owdzie od czasu do czasu, jakby wstydliwie, budzi się żywsze zainteresowanie, wśród ludzi wiedzy, kiedy rozgłośne medyum rzuci nauce garść zagadek do rozwiązania, wyjaśnienia. Często nauka dość prędko załatwia się z tą sprawą, stwierdzając poprostu, iż medyum oszukuje — w złej lub dobrej wierze, że bałamuci ogół i że objawy przeważnie wkraczają w dziedzinę białej i czarnej, czy też innego koloru magii.

Czasami jednak fakty tak oczywiście tak jaskrawo napraszają się o naukowe ich badanie, w tych wypadkach gdzie kuglarstwo lub oszustwo zdaje się być wykluczonem.

Kilka takich faktów może każdy sceptyk zebrać nie na specyalnem zebraniu o nastroju pełnym skupienia i mistycyzmu, ale w berlińskim teatrze Apollo, gdzie produkuje się niejaka Bellini, budząc zdumienie swoją umiejętnością odczytywania myśli.

Kilka przykładów.

Pewien pan pomyślał, aby Bellini wyjęła jego sąsiadowi z portmonetki 20 markową monetę, zmieniła ją w bufecie i dwom damom wręczyła po 10 marek.

Zadanie to w celu kontroli opowiedział kilku osobom. Bellini bierze daną osobę za rękę, i trzymając silnie dłoń w dłoni, lewą ręką uderza dość energicznie w czoło, w jednej chwili przeistacza się, oczy nabierają wyrazu błędnego, zdaje się, iż nic nie widzą, oddech i tętna przyspieszone.

O ile dany osobnik myśli swe potrafi skoncentrować i zdanie swe w myśli rozłoży na cały szereg pojedyńczych, poszczególnych funkcyi, doświadczenie zawsze udaje się.

Z chwilą, kiedy myśli danej osobą plączą się, Bellini budzi się, jak gdyby chaos myślowy wytrącał go z równowagi.

Doświadczenie powyższe udało się w zupełności.

Każdy chciałby osobiście przekonać się, czy aby niema w tem współpracownictwa zamaskowanego. I ja należałem do rzędu niedowiarków.

Postawiłem więc w myśli zadanie następujące: Bellini winna trzy przezemnie upatrzone osoby wprowadzić na podyum, jednemu panu wyjąć zegarek i nastawić na odpowiednią godzinę.

Zadanie wykonała z zadziwiającą dokładnością, nie omyliwszy się o więcej niż pół minuty.

Wprawdzie „obudziła się“ w pewnej chwili, mianowicie, kiedy myślałem o tem, aby przesunęła wskazówki na godzinę pierwszą zamiast myśleć podług następujących kolejno funkcyi: przesuwać naprzód i w danej chwili pomyśleć „stój“. Po wyjaśnieniu tego błędu — eksperyment udał się.

Zaznaczyć muszę, że podczas nastawiania zegarka Bellini puściła moją rękę, tak, że o żadnem fizycznem, bezpośredniem odczuwaniu drgnień — mowy niema.

Mógłbym przytoczyć jeszcze cały szereg doświadczeń, jak np. odnalezienie na pomyślanej stronnicy pewnego słowa i wybranie poszczególnych liter itp., ale i tych przykładów starczy, aby przekonać się, że można bezpośrednio odczytywać myśli innej osoby, o ile myśli te tyczą się wykonania pewnych funkcyi z osobą, lub osobami trzecimi.

Bellini ze swą osobą, lub z osobą stawiającą zadanie nie wykonywa żadnych doświadczeń; a więc skoro postawiłem zadanie, aby przyprowadził pewną osobę i aby ręką tej osoby wyjął „mój“ notes z kieszeni — obudził się, twierdząc, że moja i jego osoba winny być wykluczone.

Zanim nauka zechce poważnie zająć się temi dziwnemi zjawiskami, które zdają się wykraczać „ponad wszelki rozum“, należy zebrać jak największą ilość faktów.

W wieku lat elektrycznych, kiedy z odległości tysięcy kilometrów ludzie swobodnie mogą rozmawiać ze sobą, fakt odczytywania bezpośredniego myśli osoby, stojącej w pobliżu, może wydać się jeszcze niepojętym, ale nie możemy faktu tego negować i nie możemy się... nie dziwić, że ludzie wiedzy tak niechętnie tę dziedzinę zjawisk traktują. Dla psychologa, neurologa, a może i dla fizyka dziedzina ta niezawodnie da obszerne pole do badań.

Złote myśli.

Tam, gdzie o miłej radzą Ojczyźnie,
Choćbyś był świętym nielada —
Nie krzycz o byle co: „Zdrada!“
— Lecz bratu podaj twe ręce bliźnie,
Niechże nie każdy, kto się pośliźnie —
Zaraz upada.

* * *

Zbierajmy zacne imiona,
Upadłym podajmy rękę;
Złe wtedy na zawsze skona,
Gdy padnie na Bożą męką.

* * *

Po tem poznacie słowo prawdy, że pada cicho i leży długo, a potem wschodzi powoli; owocem jego jest miłość i zgoda. Słowo fałszu wpada natomiast z hukiem jak kula, a pozostawia po sobie ranę lub śmierć.

Obrazki ze świata.

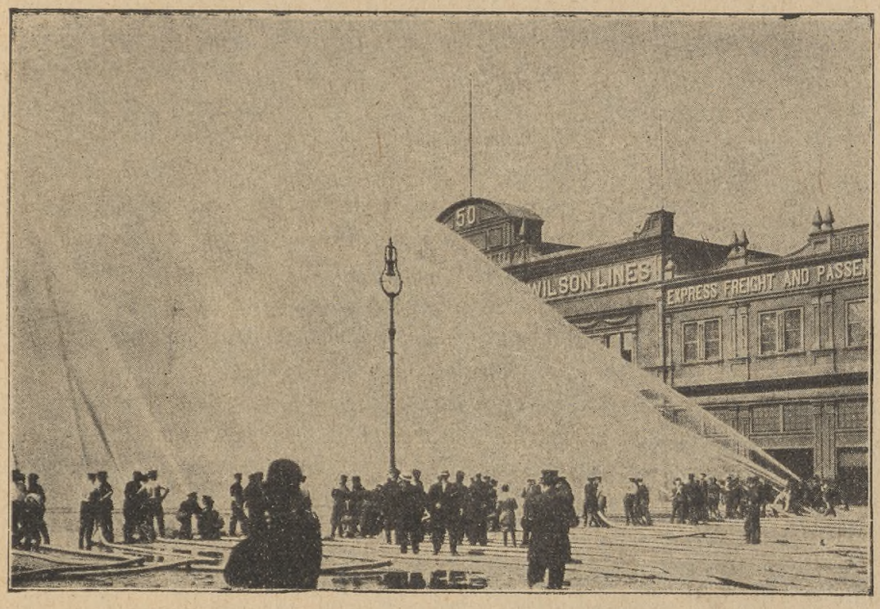
Współzawodnictwo kobiet z mężczyznami istnieje obecnie niemal na wszystkich polach zarobkowania. Doktor medycyny w spódnicy to rzecz, do której świat przywykł już od dość dawnego czasu; kobiety-adwokatki znane są niemniej w Ameryce a nawet w Europie. Mamy dalej w śród „płci nadobnej“ burmistrzów, posłów, a gdzieś



w Ameryce nawet pastora. Znanem też jest, że jakieś półtora, czy dwa lata temu zasiadła w Paryżu pierwsza kobieta — coprawda nie w fotelu Akademii, zaszczytu tego wskutek zawiści francuskich „nieśmiertelnych“ nie dostąpiła rodaczka nasza słynna, pani Curie-Skłodowska, — na koźle dorożkarskim. Przedsiębiorca, który wpadł pierwszy na ten pomysł zrobił świetny interes, gdyż nie było wówczas paryżanina, któryby nie był pragnął przejechać się po ulicach stolicy Francyi dorożką, na której koźle dzierżyła w dłoni delikatnej koniowładny bat uprzejma i fertyczna paryżanka. Ale i ta nowość spowszedniała. Obecnie wpadł inny przedsiębiorca paryski na nowy koncept: zaangażował on *białogłowę — czarną jako szofera* do jednego z swych samochodów-dorożek. Szofer murzynka, rodem z Senegalu, jest obecnie w Paryżu sensacyą dnia. Złotej młodzieży paryskiej nie pociąga coprawda piękność szoferki, (by się o tem przekonać, dość popatrzeć na jej podobiznę) ale nowość. Dość, że samochód władającej nieźle językiem francuskim murzynki, jest ciągle niemal w ruchu.

Miasta amerykańskie są jak wiadomo, ojczyzną znanych „drapaczów niebios“, kamienic, liczących po kilkadziesiąt pięter. Można sobie wystawić, w jak wielkim niebezpieczeństwie znajdować się muszą tysiące mieszkańców takiego olbrzyma w razie wybuchu pożaru. Stąd też miasta, chlubiące się posiadaniem tych „drapaczów“, muszą mieć przyrządy do gaszenia, zastosowane do rozmiarów niebezpieczeństwa. Jednym z takich przyrządów jest sikawka wieżowa. Obrazek nasz przedstawia sikawkę tę przy działalności podczas większego pożaru. We wnętrzu wieży, którą ustawić można w bezpośredniej blizkości palącego się budynku, umieszczony jest nadzwyczaj gruby wąż, kończący się w jej w czubku. Zakończenie wieży wraz z wy-





lotem węża skierować można w dowolnym kierunku. Strumień wody regulować można przy pomocy specyalnego przyrządu umieszczonego u stóp wieży. Nową taką sikawkę wieżową posiada od niedawna nowojorska straż pożarna.

Celem zapobiegania katastrof pożarnych w wielkich zakładach fabrycznych, olbrzymich magazynach i t. d. urządziło Towarzystwo Edisona w Nowym Jorku specyalne *zakłady wodociągowe,* pędzone siłą elektryczną, używane jedynie w razie większych pożarów, przy których największe sikawki parowe okazały się niedostatecznemi. Dzięki zakładom tym można przy pomocy dowolnej niemal ilości wężów rzucić do płonących gmachów w jednej minucie więcej niż 10 000 litrów wody. Ciśnienie wody jest tak wielkie, że węże trzymać musi po kilku ludzi, lub też trzeba je przymocowywać. Dzięki podobnym urządzeniom niebezpieczeństwo pożarów — nawet w amerykańskich kolosach — staje się nie wielkim.

Na zakończenie podajemy Czytelnikom obrazek *olbrzymiego drzewa,* jakie znajduje się w meksykańskich lasach dziewiczych. O rozmiarach olbrzymów tych wnioskować możemy z podobizn ludzi, otaczających pień drzewa, a wyglądających, jak karły. W drzewach tych znajdują się liczne wgłębienia, w których ludzie i zwierzęta mają bezpieczne schronienie.



NĘDZA.

Do szczupłej, wilgotnej izby, mieszczącej się w piwnicy, przez zamarznięte szyby zakradał się mrok wieczorny. Coraz ciemniej — coraz smutniej... Zwolna tonęły w mroku proste, niezgrabne przedmioty, cienie zbliżającego się wieczoru otoczyły również nędzne łoże, z którego wychylała się do wnętrza izby blada, wycieńczona chorobą twarz kobiety. Toczyła wzrokiem po mieszkaniu, jakby kogoś w niem szukała, jakby pragnęła do tych stojących w nieładzie przedmiotów się odezwać.

— Janek! — ozwała się wreszcie słabym głosem.

Na to wezwanie poruszyło się coś w kącie przeciwległym, do którego mrok najgęściej się już wtłoczył i po krótkiej chwili zbliżył się do łóżka, ziewając i przecierając oczy, mały dziewięcioletni chłopczyna.

— Mama mnie woła? — zapytał, spoglądając na matkę.

Zamiast odpowiedzi chora wstrząsnęła się dreszczem przeciągłym.

— Jak tu zimno... — rzekła po chwili. — Ojciec niedługo nadejdzie. Jak tu zimno! Janek, ty zmarzłeś!

Janek nic nie odpowiadał, tylko ruchem głowy i zatarciem rąk potwierdził domysł matki.

— A możebyś skoczył do sklepiku i wziął trochę drzewa... na kredyt... Poproś, może dadzą...

Chłopiec pokręcił się po izbie, a po chwili, jakby mu jakaś nowa myśl przyszła do głowy, wyszedł. Wiedział, że do sklepiku iść nie warto, drzewa na kredyt już nie dadzą. W ubiegłym tygodniu ojciec nie wiele w fabryce zarobił, a przytem lekarstwa... doktór... Długu nie uregulował, więc — nie dadzą...

A jednak wybiegł żwawo. Minął parę ulic, tam, kędy od strony dworca kolejowego przeciągały ciężkie, ładowne węglem wozy.

Stanął za węglem jednego z domów i patrzał. Dokoła wozów krążyły gromadki chłopców i dziewcząt, zbierających w przygotowane z góry woreczki i fartuchy drobne kawałki spadającego z wozów węgla. Od czasu do czasu ten i ów uczepił się furgonu, wspiął wyżej i zrzucił jakiś większy kawałek, rozpryskujący się na drobniejsze cząstki o twardy bruk ulicy.

Naówczas ruchliwa gromadka dzieci, bijąc i popychając się wzajemnie, z drapieżnością niejako chwytała kawałki węgla i w jednej chwili chroniła się po bramach pobliskich domów.

Janek wyczekał chwilę odpowiednią i wraz z innymi skoczył, by podzielić się łupem. Schwycił największy kawałek i wziąwszy nogi za pas — uciekł.

Tego wieczoru w mieszkaniu Janka gorzał wesoło w kominku ogień. Grzał się przy nim Janek, grzał ojciec po powrocie z fabryki, a i chora miała weselszą jakąś minę.

W duszy Janka kołatało się jakieś uczucie szczęścia, że to przecież on właśnie przyczynił się do tego, że ten ogień to jego rąk dzieło...

Od tej chwili, kiedy po raz pierwszy stanął wraz z innymi rówieśnikami do współzawodnictwa w chwytaniu wywożonego ze stacyi kolejowej węgla, wychodził na miasto częściej, nie czekając, aż mu matka przypomni, że w izbie jest zimno. I matka nie miała nic przeciw temu, gdyż Janek nie objaśniał ją, iż węgiel kradnie, jeno, że zbiera okruchy, kiedy już upadły na ziemię.

Minęły lata...

. . . . . .

Mrok wieczorny zapadał, łagodząc w oczach obecnych brud, latami osiadły na ścianach ponurej celi więziennej.

Mrok wsączał się zwolna przez umieszczone w górze małe okienko. W okienku tem krata, a pod kratą widać w murze wyżłobienie, uczynione kolanami więźniów, starających się ujrzeć przez kraty kawałek wyłaniającego się górą nieba.

Ciemno już, a jeden z młodych, lecz dorosłych już więźniów, jeszcze się wspina do okna i klnie przytem straszliwie.

Jest to ten sam Janek, któregośmy widzieli w wieku pacholęcym, chwytającego z wozów węgiel dla ogrzania powietrze, którym oddychała chora matka.

Od tego czasu jego pierwotne, wszczepione przez matkę i katechizm pojęcia o poszanowaniu cudzej własności, zaczęły ustępować pojęciom innym. Ból nędznego życia przytłaczał sobą budzące się często w jego piersi szlachetne odruchy uczuć, coraz częściej wyłamywał się hamującym czynnikom pojęć moralnych. Nędza — występków matka — i jego wyprowadziła na kręte ścieżki — ej! nie takie, o jakich swym umysłem dziecięcym marzył — nie takie! Popełnił jedną kradzież, potem drugą, trzecią...

I oto ramię zimnej jak lód i niewzruszonej, jak mury więzienne sprawiedliwości — ukazało mu moc swoją i siłę.

Siła ta zgruchotała do reszty jego wewnętrzną istotę, ale się buntuje przeciw niej i rozgniata swe czoło o zimne, kraty więzienia.

Ej! — nie zaznałby ich mocy, gdyby nie — nędza..

Ignotus.

Zamach na warkocz chiński.

Cechą charakterystyczną mieszkańców Państwa Niebieskiego jest warkocz; noszą go wszyscy bez wyjątku mężczyźni, a zwyczaj ten datuje się od zajęcia tronu chińskiego przez dynastyę mandżurską. Przedtem nosili Chińczycy wolne włosy, lecz cesarzowie tej dynastyi z wielkim naciskiem, nieraz z użyciem krwawej przemocy, wprowadzili zmiany w stroju, w oznakach chonorowych dygnitarzy, w podgalaniu głowy z przodu i noszeniu warkocza, poczytując to za oznakę lojalności. Zwyczaj ten nietylko wszędzie się przyjął, lecz jest odtąd uważany jako nieodłączna właściwość Chińczyka. Może być, że wobec wrodzonego narodowi temu niechlujstwa, miało to i swą hygieniczną doniosłość. Dziś nawet najuboższy robotnik znaleźć musi parę sapejek, aby raz na tydzień



Oświadczyny.

dać sobie czysto ogolić głowę i brodę, która zresztą u Chińczyka mało porasta. Mnóstwo też jest tak zręcznych golarzy, którzy do wykonania swej sztuki mydła całkiem nie potrzebują.

Północni Chińczycy noszą warkocz zwykle dość krótki; południowi natomiast sadzą się na to, aby mieć warkocz jak najdłuższy i gruby, gdy zaś im do tego własne włosy nie wystarczają, sztukują je włosieniem i zdobią wstążkami. Robotnik chiński nie używa prawie żadnego nakrycia głowy; w upały zatyka pod nasadę warkocza wachlarz, aby zyskać od niego cień i chłód. Zwykłem nakrycień głowy chińczyka jest czarna, okrągła czapeczka, albo spiczasty kapelusz słomiany. Bez warkocza nie można sobie wyobrazić Chińczyka — to też ze zdumieniem czytaliśmy w dziennikach zagranicznych wiadomość o zamachu na tę tradycyjną jego ozdobę.

„Cały ogół chiński został poruszony do głębi groźbą zamachu na swój tradycyjny warkocz. Wszak jest on od wieków cechą narodową, jak również owe przepyszne suknie z szanghajskiego jedwabiu, jak owe wspaniałe płaszcze, haftowane złotem i purpurą. A Państwo Niebieskie jest nie-

zmiernie konserwatywne, zwłaszcza zazdrośnie przestrzega swych tradycyi, swoich zwyczajów, obyczajów, urządzeń. Zresztą nawet Chińczycy postępowi twierdzą, że warkocz nie przeszkadza wcale reformom. Oficerowie naprzykład, noszą już mundury kroju europejskiego, mimo to ani myślą pozbywać się warkocza. W obronie warkocza stają całe Chiny. Wielkie środowiska miejskie — Pekin, Szanghaj, Kanton, gotowe są z bronią w ręku walczyć o zachowanie tradycyjnej ozdoby. Zarówno wytworny elegant, jak tragarz i żołnierz oburzają się, słysząc mówiących o zamachu na ów czarny warkocz, który jest dla nich rodzajem narodowego sztandaru, godłem ich ojczyzny i religii. Nawet cudzoziemcy, osiedlający się w Chinach, pragnąc zyskać zaufanie krajowców, zaopatrują się w warkocze sztuczne. Są one, mówiąc nawiasem, bardzo eleganckie, delikatne, łatwo przyczepiają się do włosów. Cudzoziemiec, odwiedzając mandaryna lub innego wpływowego obywatela chińskiego, zwykle stroi się w tę ozdobę. Tak zatem — warkocz chiński silnie się trzyma i nie da się tak prędko wyprzeć".

Konserwatyzm narodowy Chińczyków staje upornie przeciw wszelkim nowościom nawet w przemyśle. Poprawniejsze narzędzia europejskie Chińczyk usuwa z niechęcią, dając pierwszeństwo swoim starym, niezgrabnym i niedołężnym, bo do nich od pokoleń nawykł. Ułatwień, płynących naprzykład z podziału pracy, nie uznaje i trzyma się odwiecznych metod pracowania. Braki tych metod wynagradza niezmordowaną pilnością i dlatego, trzymając się swych starych narzędzi i metod, zapanowuje nad gałęziami drobnego przemysłu nietylko w swoim kraju, ale także w obcych miastach dalekiego Wschodu. Chińczyk, nawet z daleka od swego kraju, naprzykład w Kalifornii, nie daje się owładnąć nowym sposobom i narzędziom pracy, lecz sprowadza sobie z Chin własne narzędzia, odzież i t. p. Wobec takiego wstrętu do nowości użytecznych w życiu praktycznem, codziennem, niepodobna myśleć o doraźnych reformach zwyczajowych i obyczajowych. Zjawiają się i one, ale na to potrzeba czasu.

Ostatni czciciele słońca.

Opowiadał pewien podróżnik — czyż można podróżnikom wierzyć? — że kiedyś w Indyach przyjaźnił się z Fakirem, wszelkich tajemnic świadomym. Razu pewnego stary Hindus, wygrzewając się z lubością w słonecznym żarze, tak prawił:

„Widzisz tam, hen, daleko, wysoko, te niebotyczne szczyty Himalajów? Jak cudnie mienią się w słońcu? i oko blaskiem i barwami cieszą? Czy ty wiesz, czemu przeciw słońcu zwierciadła swych lodowców nadstawiają i ślą nam jego promienie z powrotem? Nie wiesz? Słuchaj: Patrz na ten czworobok czterech szczytów, związanych przełęczami: niedostępnymi grzbietami gór, co poniżej rozstępują się w cztery strony świata, rozkraczają szeroko, zniżają się, maleją, przykucają pagórkami, rozpływają się w równiny. Ale w środku czworobok wydrążony, pusty: od wierzchołka przełęcze urywają się przepaściste czterema stromemi ścianami, co swą skalistą cembrzyną zamykają szczelnie wewnętrzną kotlinę — jamę — przepaść niezgłębiona, tak głęboka, jak te góry — wyniosłe. Tę kotlinę zamieszkują ludzie tacy, jak my. Skąd się tam wzięli? Nie wymyślisz, nie zgadniesz. Znikąd snać nie przyszli, bo znikąd niema tam dostępu. Dość, że są; zawsze byli. To na ziemi ostatni czciciele słońca. Jeno, że go sami nie znają; góry pilnują, by słońce nigdy do nich nie dotarło, ani oni nie wydostali się tu do słońca. Ze słońca znają tylko: chłód, mrok i cień. Tyle zaznali ze słońca. I po chłodzie, co ich ziębi, sądzą o jego cieple, po mroku o świetle, po cieniu o blasku. I wielbią słońce za nieznane: ciepło, światło, blask. Tak było od początku, zawsze. Co roku, zaopatrzeni w żywność i uzbrojeni oskardami i przysięgą, iż nie powrócą, póki drogi do słońca nie odnajdą, nie utorują, czterej najsilniejsi młodzieńcy wspinają się na cztery strome ściany. Tak było zawsze. Po tygodniach, po miesiącach, ze czterech ścian kapią w dół cztery kościotrupy; żaden nie zrobił dotąd i ćwierci drogi. Znów idą inni. Tak było od początku, zawsze; będzie zawsze. A góry wciąż jednakowo zagradzają do przepaści drogę słońcu, a z przepaści drogę ludziom. Tak było od początku, zawsze. I zawsze zagradzać będą, albowiem w przepaści żyją słońca czciciele ostatni. Gdyby się z przepaści wydobyli na szczyty, za szczyty, — nie czciliby więcej słońca, którego nie zaznali, lecz, jak my, — słońcem żyli".

— Piękna przepowieść — zauważyłem — cóż ona znaczy?

— Co znaczy? Widać, że nie znasz Wschodu. Dlatego piękna, że nie znaczy nic. Najpiękniejsze przypowieści nie bywają kluczem do użytecznej mądrości. Jak lodowce Himalajów bez ukrytej myśli cieszą błyskami oko, by je cieszyć, tak one cieszą wyobraźnię, by ją cieszyć. I tem piękne.

„Dobroczyńcy“ ludzkości u siebie.

Było to jakoś przed rokiem. Daty dokładnie nie pamiętam, ale mniejsza o to. Dosyć, że w jednem z pism naszych ukazała się notatka kronikarska, zaczerpnięta z pism zagranicznych, iż miliarder amerykański, zwany „królem naftowym“, Rockefeller, ofiarował miliard dolarów na wspieranie nauki, sztuki i t. p. cele społeczne, bez względu na granice polityczne, i pozostawiając prawo ubiegania się o cząstkę tego zapisu wszystkim narodowościom.

Zakotłowało się wtedy, jak w ulu przed wyrojeniem się pszczół. Czyn Rockefellera tłumaczono sobie w rozmaity sposób. Jedni widzieli w nim wielkie obywatelskie serce miliardera, inni chęć reklamy, inni jeszcze jakieś ukryte cele. Znalazło się sporo osób, które twierdziły, że wystarczy skreślić kilkanaście ciepłych zdań do „króla naftowego“, a napewno rozwiąże swój tłuściutki trzosik i sypnie na nasze cele społeczne jeżeli nie setki, to przynajmniej kilkanaście milionów dolarów. Szło tylko o to, aby wydobyć dokładny adres Rockefellera. Arkusz ładnego papieru listowego za dwa fenygi, koperta za tyleż, marka za 20 feuygów, czyni razem fenygów 24 — ot i za taką bagatelkę otrzymać można miliony dolarów na cele społeczne w Polsce. — Tak tłumaczyli sobie nasi optymiści, od których, jak wiadomo, roi się jeszcze w naszej ukochanej Polsce. Oj, ci optymiści nasi!

Czy odnalazł kto dokładny adres miliardera-filantropa i czy pisał kto do niego „ciepłe liściki“ — nie wiem, sądzę jednak, że o ile kto pisał, napróżno do dziś czeka na odpowiedź, bowiem i „dobroczyńcy“ ludzkości potrafią być skąpi, gdy ich nikt nie widzi. Złożył tego dowody i Rockefeller.

Na prezent gwiazdkowy dla służby żeńskiej swego pałacu w Cleveland przeznaczył on po jednym bawełnianym fartuszku. Służbie męskiej ofiarował po 20 papierosów, należy jednak dodać, że poza tem całemu personelowi (złożonemu z 26 osób) — ofiarował funt karmelków. Hojny zapisodawca nie przewidział, że o tych podarkach świątecznych dowiedzą się reporterzy i rozgłoszą na dwie półkule. *Stanko.*

Nasze ilustracye.

Sztandar — to znak jedności i wspólności celu, to honor, rzecz święta, którą otacza się czcią wielką. Sztandar — to równocześnie jakoby stróż dostojny, stojący na straży czystości tych, którzy pod jego znak się zaciągnęli, — to skarb najdroższy, którego nie wolno ni shańbić, ni utracić. W czasie wojny zwłaszcza dokoła sztandarów toczy się walka. Nieprzyjaciel, który zdobył sztandar, już połowę odniósł zwycięstwa. Dlatego też *w obronie sztandaru* tak zacięta zazwyczaj toczy się walka, walka do upadłego, choćby to niewiem ile krwi kosztować miało i ludzkiego życia. Chwilę takiej walki przedstawia właśnie nasza pierwsza rycina.

Następne dwa obrazki znalazły właściwie już swój opis w artykule o „zwyczajach karnawałowych“. Dodać tylko należy, że pierwsza rycina przedstawia scenę z karnawału w Wenecyi, druga zaś zadzierżystego mazura, taniec specyalnie polski, pełen ognia i życia, w Polsce jedynie znany i tańczony.

Ostatnia zaś ilustracya przedstawia nam dwoje zabawnych malców, ubranych po karnawałowemu i udających starszych w chwili oświadczyn.

Kalendarzyk historyczny

od 12 do 18 lutego.

12. Bitwa pod Gurznem ze Szwedami 1629 r. — Śmierć Stanisława Augusta 1798 r.
13. Tarnawa zdobyta na Szwedach 1609 r.
14. Chrzest Władysława Jagiełły 1386 r.
15. Fryderyk Wilhelm, książę pruski, składa hołd królowi polskiemu i narodowi 1649 r.
16. Toruń broni się przeciw Szwedom 1629 r.
17. Wygrana przeciw moskiewskim wojskom pod Dobrem 1831 r. — Ślub Jadwigi z Jagiełłą 1386 r.
18. Stefan Batory zwycięża Turków 1574 r.

Łamigłówka do nagrody

Nadesłał czyteln. B. K. z P.

```
                A
              A A A
            A A A A B
      B B D D D D E
  E I I J L L L M M
    N N N N O O R
      R R S T T
        U U W
          Z
```

Z powyższych liter należy ustawić 9 wyrazów. Litery środkowe (w rzędach przekątnych) tworzyć mają nazwisko genialnego malarza holenderskiego.

Znaczenie wyrazów.

1. Spółgłoska.
2. Dzikie zwierzę.
3. Powieściopisarz francuski.
4. Stolica „najmłodszej“ republiki.
5. . . . . ?
6. Kraj na półwyspie bałkańskim.
7. Rzeka w Austryi.
8. Rodzaj poezyi.
9. Spółgłoska.

Rozwiązanie łamigłówki prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 16. lutego b. r. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 8.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 4:

Maraton
O
Nemezys
I
Urszula **Moniuszko.**
S
Zagłoba
K
Odyssea

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Jan Barteczek, Felicya Brachlówna, Michał Cerafin, J. Cholewik, Franciszek Cieśla, Marya Dembowska, Roman Fiszer, Emil Gruszecki, Stefania Hatschierowa, W. Hyla, Korneli Kosiński, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Wanda Misiewicz, Bol. Natowski, Fr. Pawliczek, ks. Wincenty Osikowski, J. Pieszczoch, Wilhelm Rückemann, Celestyn Schöffer, Józefa Steindl, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Mieczysław Szporek, Stefania Wdówkówna, ks. Józef Welc, Anna Wełnianka, Zdz. Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Berta Badura, Bolesław Balcer, K. Balcerski, Marya Bątkiewiczówna, M. Całkówna, Anna Cerbin, Helena Dratwówna, S. Dziembowski, K. Garstecka, Czesław Garstecki, Stanisława Gołębiewska, Józefa Górecka, Wiktorya Hartwich, „Heluś z nad Oborniczanki“, Paweł Jabłoński, Marya Kałamajska, słuch. med. Rajmund Kamiński, Zosia, Urszulka i Marylka Kentzerówny, Lucyna Klichowska, Marya Knioła, Konstancya Kolańczyk, Stanisław Kowalski, Wanda Kulczyńska, Janina Lesicka, W. Madryś, Stefania i Edward Miedzińscy, Łucya Mroczkowska, Czesław Musiał, Marya Olęderczykówna, J. Olejniczak, Irenka Oszwałdowska, Aldona Pacanowska, M. Paluszyńska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, Julia Płoszyńska, Andzia Rogaczewska, B. Rogalińska, Mieczysław Schwarz, Helena Śliwińska, Kazimiera Stachowska, Wanda Stachowska, J. Starczewski, Anna Sterczewska, Józefa Surzyńska, Helena Świnarska, Jadzia Szudrowicz, Leokadya Szymankiewicz, Stanisław Szymanowski, Tadeusz Węclewicz, Katarzyna Wolińska, Helcia, Jania, Ludka i Zbisiu Zięciak.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Marya Józefa Czetwertyńska z Suchejwoli (Królestwo Polskie), St. Dziegiecka z St. Goarshausen (Nadrenia), Alojzy Józef Gawrych z Berlina, Marya Jańczak z Friedenau-Berlin, Antoni Lenkiewicz z Satow (Meklenburgia).

Nagrodę otrzymają:

pp. K. Garstecka z Poznania (Łąkowa 4b), Marya Jańczak z Friedenau-Berlin, Lucyna Klichowska z Przementu, ks. Wincenty Osikowski z Wielowsi (Galicya).

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przesyłali rozwiązania łamigłówek **tylko na pocztówkach.**

Nie zapominaj

Pan nazwy **„Contrheuman“**, bo wypróbowany ten i przez lekarzy zalecany środek odda każdemu przysługę przy reumat., podagr. lub newralg. boleściach, które jest zawsze niezawodnym środkiem do szybkiego i uśmierzenia boleści, do wciągnięcia napuchłości i przywrócenia ruchliwości członków oraz usunięcia nieprzyjemnych uczuć, przy nacieraniu, masowaniu i obkładach z zdumiewającą pewnością skutkuje.

1 tuba za 1 kor.

Fabryka i główny skład w

B. FRAGNER'A APTECE

c. k. dostawca

Praga III. Nr. 203.

Za poprzedn. nadesł. kor. 1.50 wysyła się 1 tubę
„ „ „ „ 5.— „ „ 5 tub
„ „ „ „ 9.— „ „ 10 tub

Baczność na nazwę preparatu i fabrykanta.

Do nabycia w aptekach.

W Krakowie: w aptekach M. Masłowskiego, M. Redera i K. Wiśniewskiego.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nagły, radosny strach napełnił moje serce. Uklękłam szybko i, nie zważając na tuman pyłu, jaki mi uderzył w oczy, szarpałam i rwałam płótno tak długo, dopóki nie zrzuciłam całej zasłony.

Co za cudownie piękna twarz! Młoda, uśmiechnięta, szczęśliwa, jasnowłosa, biała, o ślicznych błękitnych oczach! A na jednym rogu obrazu stało potwierdzenie moich domysłów:

Edyta Paoli. — Eryk, hr. Willoughby, pinxit.

Zaczęłam rzewnie płakać! Klęcząc tu, w ciemnym zakurzonym kącie, — niespostrzeżona przez nikogo, znalazłam wobec tej młodej, uśmiechniętej piękności, która była moją matką, owe gorące łzy, których znaleźć nie mogłam wówczas przy jej grobie.

Postanowiłam natychmiast zabrać ten odkryty skarb na wyłączną moją własność i ukryć go starannie. Skoro się ciotka Gina o tem dowie, to weźmie mi portret — z wszelką pewnością — muszę go więc ukryć dobrze. Ostrożnie chowałam mój skarb pod sukienkę, wysunęłam się do ogrodu, i zawinąwszy obraz w chustkę, włożyłam do pnia spróchniałego drzewa, o jakiej to kryjówce ja sama tylko przypadkiem się dowiedziałam.

Gdy fortepian stał już w salonie, poszła ciotka Gina na poddasze, aby wszystko tam znowu uporządkować; po kilku godzinach wróciła, trzymając w ręku kilka kawałków płótna z obrazu, które w prędkości zapomniałam zabrać. Zapytała mnie ostro, czy byłam na górze i czy znalazłam tam jaki portret; robotnicy nie wiedzą o niczem i żadnego obrazu nie wzięli.

— Wierzę — odrzekłam spokojnie. — Ale ja wiem! Znalazłam przypadkiem ten portret, a że przedstawia on moją matkę, przeto postanowiłam go zatrzymać.

— Nawet wtenczas, jeżeli ci stanowczo oświadczę, że ci tego uczynić nie wolno?

— Nawet wtenczas — zawołałam nieustraszona.

— Obraz ten należy do twej babki. Jest portret jej córki.

— A mojej matki! Ponieważ znalazłam go zakurzony i zarzucony pomiędzy starem rupieciem na poddaszu, więc należy on teraz do mnie!

— Powiedz mi natychmiast, gdzie go schowałaś.

— Nie, ciotko Gino, nie powiem!

— Przeszukam wszystkie twe rzeczy.

— Proszę! Nie znajdziesz nic.

— A jeżeli babka rozkaże ci go oddać?

— To odpowiem jej to samo, co i tobie: obraz jest moją własnością.

I na tem się skończyło! Ale takie sceny nie przyczyniały się bynajmniej do tego, aby

miłość pomiędzy ciotką Giną a mną się wzmagała. Przeciwnie.

Odtąd stałam codziennie długo, zamyślona przed moją gotowalnią i wpatrywałam się uważnie w lustro. Badałam troskliwie rysy mej twarzy — czy byłam tak piękną, jak moja matka? Ona była tak różową i uśmiechniętą — ja bladą i poważną! A przytem jej promienne błękitne oczy! Moje były takie czarne, ocienione czarnemi rzęsami, że można się ich wystraszyć, gdy nagle podnosiłam je w górę. Jasne, złote włosy i kształt twarzy — to się zgadzało, ale wyraz był zupełnie odmiennym.

Tymczasem zaczęłam brać lekcye muzyki, która stała się moją najmilszą pocieszycielką i największą przyjemnością. Sympatyczna młoda nauczycielka, miss Eda Strome, dawała mi lekcye; ona sama grała bardzo pięknie, i najlepszą moją nagrodą było, gdy po ukończeniu lekcyi zagrała mi moje ulubione melodye. Ta nagroda dostawała mi się często w udziale, byłam bowiem pilną i pojętą uczennicą, i najszczęśliwszą się czułam przy fortepianie. Ale czasem, gdy z pod moich palcy płynęły dźwięki jasne, śpiewne, miękkie, uczuwałam nieprzezwyciężoną tęsknotę za miłością, przyjaźnią, zrozumieniem! Bywałam teraz częściej w mieście — widywałam tam dziewczęta w moim wieku, jak trzymając się pod rękę, chodziły po ulicy lub w parku, opowiadając sobie ważne zapewne rzeczy — widywałam tam, wesołe, szczęśliwe dzicci przy boku ojca, matki lub siostry — z jasnemi oczami i uśmiechem na ustach.. jakże pięknem musiało być ich życie, jak spokojnem, pełnem miłości! A ja nic z tego wszystkiego nie miałam! Żadnej łagodnej ręki, żadnego słowa miłości, żadnego pocałunku! A miałam serce takie gorące i tak bardzo łaknęłam odrobiny uczucia! Czasem opanowywała mnie szalona hardość — częściej jednak wywoływała muzyka tęsknotę za duszą pokrewną i rozpacz — ale nikt z mego otoczenia nie wiedział o tem. Pozornie byłam rzeczywiści ową „zimną, obojętną osobą“, jaką sobie moja babka życzyła, wewnątrz zaś — dziwnie rozdrażnionem, pod wielu względami niedojrzałem, pod wielu zaś nad wiek rozwiniętem stworzeniem. Ciągła bowiem samotność i rozmyślanie, oraz czytanie licznych książek, które przerzucałam bez wyboru — klasyków i modnych pisarzy — to było przyczyną, że umysłowo dojrzałam wcześnie — przekonałam się o tem później, gdy miałam sposobność porównania się z innemi rówiennicami.

Moja młoda nauczycielka muzyki miała bardzo dobre wyobrażenie o moich zdolnościach; dziwiła się zawsze, z jaką łatwością umiałam wyćwiczyć trudne rzeczy i grać je zaraz na pamięć, jako też i oryginalny sposób pojmowania ich. Pewnego dnia zaproponowała śmiało ciotce Ginie, aby nakłoniła babkę do pozwolenia wykształcenia mnie na artystkę; mam bowiem odpowiednie do tego zdolności i najlepsi profesorowie muzyki potwierdziliby jej, to jest miss Strome, zdanie, gdyby mnie tylko usłyszeli grającą.

Ciotka Gina przybrała na tę propozycyę — która mnie naturalnie w duszy niezmiernie zachwycała — swoją najzimniejszą minę i odrzekła krótko, że póki babka żyje, nie zgodzi się na to, a że ja zupełnie od babki zależę, przeto na szczęście nie posiadam tyle pieniędzy, aby się odważyć na krok tak awanturniczy, w końcu otrzymała miss Strome bardzo wyraźny rozkaz, aby nie ważyła się budzić we mnie podobnych myśli, inaczej bowiem skończą się lekcye natychmiast!

Pewnego pogodnego wiosennnego dnia — zaczęłam właśnie piętnasty rok i byłam wysoką, wysmukłą dziewczyną — oświadczyła mi niespodziewanie ciotka Gina, że za dziesięć lub dwanaście dni wyjedziemy do francuskiej Szwajcaryi, gdzie na życzenie mej babki mam być oddana na pensyę w Vevey. Miałam się tam nauczyć najrozmaitszych rzeczy i przez obcowanie z ludźmi nabrać dobrych i towarzyskich manier.

Ciotka Gina nie mogła się przytem powstrzymać od dania mi mnóstwa dobrych rad; mówiła, że spodziewa się, iż z całej siły starać się będę o wykształcenie i udoskonalenie umysłu i charakteru, że pozbędę się uporu i hardości i uczuję miłość i wdzięczność dla babki za wsrelkie trudy i starania pod względem wychowania.

Ale dla tej babki, która stawiała przeszkody mym dążnościom, która przytłumiała swoje uczucia i która tak bardzo pragnęła mej śmierci i pozbycia się mnie na zawsze, dla tej babki czułam nienawiść tylko. Milczałam więc na uwagi ciotki Giny, jeździłam z nią codziennie do miasta po sprawunki, cieszyłam się, jak każda młoda dziewczyna z pięknych nowych sukien, które mi kupowano i z niecierpliwością oczekiwałam dnia mej pierwszej w życiu podróży i pobytu na pensyi.

Pożegnanie domu nie było zbyt ciężkiem; żal mi tylko było ogrodu, pełnego słońca i kwiatów, pomiędzy któremi lubiłam tak bardzo marzyć — marzyć...

Ciotka Gina zawiozła mnie sama do Vevey, a podróż sama przeszła prędko, jak błyskawica. Wszędzie nowe wrażenia, nowe życie i jak na jaki cud, przestraszona niemal, spojrzałam na

Alpy, gdy już cel naszej podróży coraz bardziej się zbliżał.

— Tuż koło Vevey, w dolinie zapełnionej wilami, znajdowała się pensya, w której odtąd miałam żyć, a że już był wieczór, gdy tam przybyłyśmy i słońce chyliło się ku zachodowi, przeto biały ów dom stał jakby na tle złotem, a wszystkie okna jaśniały metalicznie w promieniach słońca.

W tej chwili ujrzałam tę, która mi życie tu ozłocić i opromienić miała i potem...

W małym ogródku, oparta na nizkim płocie, stała młoda dziewczyna w białej sukni. Stanik jej zdobiły ciemno czerwone wstążki, a długie, czarne warkocze, również czerwonemi wstążkami były związane. Tak ona stała wśród kwiatów i zieleni — owa młoda, prześliczna dziewczyna, sama jak poczek róży, oblana światłem, jak aureolą — i jak aureolą otacza dziś jeszcze niezwiędłe wspomnienia mego serca jej obraz; ona bowiem była mi zawsze drogą, jako jedyna, ubóstwiana moja przyjaciółka, chociaż jesteśmy od siebie bardzo, o jak bardzo oddalone!...

Założywszy swe białe, piękne rączki na płocie, przechyliła się nieco i patrzała na nas, gdy wysiadałyśmy z powozu; usta otworzyła nieco, jak gdyby nas chciała powitać serdecznem słowem, ale w tej właśnie chwili usłyszałam przez na pół otwarte drzwi domu rozmaite głosy, wołające głośno:

— Stella! Gdzie jesteś? Stella, przyjdź.

Wtedy mój piękny posąg nabrał życia, podniosła główkę, aż czarne warkocze się poruszyły i zawołała:

— Tu jestem.

To było przeznaczone dla mieszkanek domu. A potem dodała zaraz:

— Do widzenia piękna blondynko z czarnemi oczami.

To było przeznaczone dla mnie i jak błyskawica zniknęła w drzwiach wili.

— Zapewnie jedna z pensyonarek — rzekła ciotka Gina z niezadowoleniem — zdaje się być bardzo ekscentryczną; spodziewam się, że madame[1]) Beaumont zgani ją za to. Zachowuje się wcale nie jak być powinno.

Madame Beaumont wysłała ku nam starego a bardzo poważnie wyglądającego służącego, który nas wprowadził do ładnego, jasnego salonu, gdzie przełożona pensyi już na nas czekała; madame była ciemnowłosa, żywa, uprzejma, inteligentna, rozmowna kobieta — prawdziwa Francuska. Pocałowała mnie w czoło, lekką, pieszczotliwą ręką przesunęła po moich włosach i wyrzekła kilka serdecznych słów na powitanie, potem zwróciła się zaraz do ciotki Giny, z którą rozpoczęła ożywioną rozmowę o naszej podróży, moich lekcyach, tutejszym klimacie i podziale dnia swych pensyonarek.

Siwowłosy służący, chodzący tu i tam jak cień, przyniósł na ogromnej srebrnej tacy herbatę i rozmaite ciastka, a madame bardzo serdecznie zapraszała do jedzenia.

Z pensyonarek nie ujrzałam żadnej, raz tylko, gdy służący otwierał drzwi, usłyszałam srebrny, dźwięczny śmiech i byłabym przysięgła, że to śmiech Stelli.

— Dziś, jako nowoprzybyła, stanowisz wyjątek — rzekła do mnie madame poprawną, piękną francuzczyzną. Moja wymowa, dzieło Jeanetty wydawała mi się w tej chwili okropną.

— Pensyonarki piją herbatę pod dozorem mej siostry i trzech nauczycielek, które mamy w domu, jedna Niemka, nauczycielka muzyki, jedna Włoszka i Angielka. Oprócz tego udzielamy lekcye: mąż mój i ja; mąż daje geografię, historyę i rysunki. Mam nadzieję, że kochanej Dorze będzie u nas dobrze. W pokoju, który jest obszerny i jasny, będzie spała z dwoma jeszcze innemi panienkami; jedna z nich Niemka, dobre, ciche, łagodne stworzenie, prawdziwy wzór porządku i pilności; druga — tu uśmiechnęła się madame — druga, otwarcie powiedziawszy, jest trochę tak zwanem dzieciakiem naszej pensyi, motylek, wir, iskra, ale przytem osóbka, której każdy nieomal ulega.

Mnie mocno serce zabiło — czy to nie była Stella?

— Myślę, że poślemy dziś Dorkę na spoczynek — mówiła dalej madame do ciotki Giny — podczas kiedy my obiedwie możemy jeszcze trochę porozmawiać. Zdaje mi się, że czarne oczy dziecka pragną snu. François — zwróciła się do stojącego przy drzwiach służącego — zaprowadź mademoiselle Paoli do jej pokoju i proś moją siostrę, aby jej pomogła przy rozpakowaniu kufrów. Moja siostra Anna — dodała objaśniająco — to dobry duch naszej pensyi, czuwa ona nad całem gospodarstwem, nad zdrowiem panienek i nad ich garderobą. Dobranoc, moja jasnowłosa dziecino, śpij spokojnie pod naszym dachem. Jutro masz jeszcze wolny dzień, śpij długo i odpoczywaj, póki chcesz. Dobranoc.

Przycisnęła mnie do serca, uczyniła nad głową moją prędko znak krzyża świętego i wy

[1]) Po francusku: *madame* = pani, *mademoiselle* = panna, *monsieur* = pan. Po angielsku: *mis* = panna, *mylady* albo *lady* = pani.

prowadziła mnie z pokoju, oddając pod opiekę służącemu.

Na końcu długiego i szerokiego korytarza zabrała mnie mademoiselle Anna, ubrana w szarą suknię. Była to mała, chuda osoba, o nieładnej, ale miłej twarzy i łagodnym głosie i nie była wcale podobną do swej żywej, rozmownej, okazałej siostry. Poszłam z nią na drugie piętro do skromnie umeblowanego pokoju, który jednak zupełnie się zgadzał z tem, co madame o nim mówiła.

Trzy śnieżno-białe łóżka, trzy wielkie szafy do sukien, trzy zwierciadła i umywalnie, kilka krzeseł i mała kanapka — to było całe urządzenie. Ale przez obydwa wielkie okna zaglądało niebo wieczorne, na którem pierwsze gwiazdy już się ukazywały i wysokie, ciemne szczyty gór słały mi pierwsze swoje pozdrowienie. Jeżeli teraz głośno zapłakałam, to nie było, jak mademoiselle Anna sądziła, z żalu za domem lub rodziną, tylko inne uczucie opanowało moje serce, uczucie lub przeczucie szczęścia i spokoju.

Prędko i w milczeniu rozpakowałam przy pomocy mademoiselle moje rzeczy, ułożyłam je w szafie i wkrótce byłam gotową. Na zapytanie, czy chcę światła, odrzekłam, że nie — w pokoju było jeszcze dosyć jasno. Gdy mademoiselle wyszła, życząc mi uprzejmie dobrej nocy, wychyliłam się przez okno i objęłam spojrzeniem góry i jasno błyszczącą powierzchnię jeziora genewskiego, i patrzałam na małe, promienne gwiazdki, jak na złote oczy aniołów i czułam orzeźwiający powiew wietrzyka wiosennego. Czy ten sam wietrzyk poruszał teraz kwiaty na grobie mej matki, i czy tam gwiazdy też tak uroczyście spoglądały na ziemię, na wyryte słowa na marmurze: „Edyta Paoli, zmarła w dwudziestym drugim roku życia“?

Zimny dreszcz przeszedł moje członki; zamknęłam prędko okno, rozebrałam się i położyłam do łóżka. Chciałam raz jeszcze przypomnieć sobie wszystkie wrażenia tego dnia, ale natura upomniała się o swoje prawa; członki zaciężyły mi jak ołów; raz jeszcze ujrzałam w myśli uroczą postać Stelli, potem już nic, i usnęłam jak kamień.

Po upływie może dwóch godzin obudził mnie blady promień światła i przytłumiony szept dwóch głosów w moim pokoju. Rozmawiano oczywiście bardzo cicho, ale ja byłam przyzwyczajoną spać zawsze sama, to też najlżejszy szelest budził mnie natychmiast. Tym razem cieszyłam się z przebudzenia — mogłam poznać trochę moje towarzyszki i wyrobić sobie zaraz o nich pewne zdanie.

— Czy tylko dobrze widziałaś? — szeptała jedna z panienek.

— Ach, Greto, jesteś okropną z twem wiecznem powątpiewaniem — odrzekła druga [najczystszym paryskim akcentem. Poznałam natychmiast głos Stelli. — Odzwyczaj się tego, bo przecież nie ma nic gorszego na świecie. Ona ma czarne oczy, tak czarne, jak węgle, powiadam ci, spojrzyj tylko na jej rzęsy i brwi, patrz, jak ona tu śpi! Czy nie wygląda jak obraz cudowny?

Greta musiała pewnie zbliżyć się i patrzeć, bo powstała krótka chwila milczenia.

— Tak, ona jest bardzo ładna, i jeżeli ma doprawdy czarne oczy — tylko nie gniewaj się zaraz, ja ci już wierzę — to musi zapewnie być niezmiernie piękną. Jasne włosy — czarne oczy — ale tak ładną, jak ty, Stello, nie jest jednak.

— Bo nie umie nic jeszcze z siebie zrobić, moja droga! Ona jest jeszcze zupełnem dzieckiem — ma piętnaście lat, dla tego będę jej od razu mówić „ty“. Mam przecież już siedmnaście lat, jak wiesz! Ale gdy byłam w tym wieku, o, jeszcze młodszą, jednasto-dwunastoletnią, to już bardzo dobrze wiedziałam, w jakich kolorach ładnie wyglądam i w co się mam ubrać, a w co nie! O to postarała się moja ukochana, zmarła mama i świetny Paryż! Głupią i próżną nie stałam się pomimo tego, wiem, że jestem ładna i stosuję się do tego. Punktum! Wierzaj mi, Greto, jeżeli dziewczęta udawają, że im wszystko jedno, jaką twarzą ich Bóg na tym świecie obdarzył, to nie jest to niczem innem, jak głupiem udawaniem. Te, które są ładne, wiedzą o tem bardzo dobrze i cieszą się, jawnie, albo skrycie, a te, które są brzydkie, wiedzą też o tem dobrze, gniewają się straszliwie w cichości serca, rozprawiając głośno o znikomości wdzięków i zaletach duszy. Dusza! Ach, duszy nie mogę wyprowadzić na spacer i wystawiać jej na podziw! Nie, przedewszystkiem trochę być szczerą. A chociażby mi tysiąc kobiet powiedziało, że spojrzenia pełne uwielbienia, są im obojętne, albo przykre, to ja im powiem otwarcie: „Ja się z tego cieszę! Cieszę się, że ludzie chętnie na mnie patrzą, pomimo, że to nie jest moją zasługą. U nas w domu było wszystko pięknem, a brat mój najpiękniejszy! A jak ta mała, jasna, śliczna buzia, która tu leży przed nami i śpi, spojrzała dziś na mnie w ogrodzie, jak na zjawisko, i gdy w wielkich jej czarnych oczach ujrzałam wyraz zachwytu, tom się tak serdecznie ucieszyła! Jeżeli to jest grzechem, to wymienię go na spowiedzi, ale uczuwałam to już po tysiąc razy i tysiąc razy jeszcze

uczuję to samo, inaczej nie mogę! Basta!“ Dobranoc, Greto! Czemu się nie kładziesz?“

— Chcę jeszcze raz powtórzyć angielską literaturę, zanim mademoiselle Anna przyjdzie. Zaraz skończę. Wiesz, Stello, na jutro mamy tyle do nauczenia się na pamięć, a takie to trudne...

— Ach, głupstwo! Szekspir miałby mi popsuć mój piękny sen! Musiałabym chyba — no, ale ledwie stoję, niech tam jutro będzie, co chce! Radzę ci, mój wzorze pilności, idź spać i zostaw Szekspira — Szekspirem.

Greta milczała; słyszałam tylko lekki szelest przewracanych kart książki, potem ziewnięcie — widocznie Stella ziewnęła. Potem nastąpiła cisza — po chwili zagaszono świecę i cichy oddech moich towarzyszek był dowodem, że obiedwie usnęły; ja zaś leżałam długo jeszcze z otwartemi oczami i rozmyślałam nad tem, co słyszałam.

IV.

Nazajutrz rano obudził mnie znowu cichy szept, przytłumiony śmiech i słodka woń róż, oraz lekkie uderzenie jakimś miękkim, małym przedmiotem w twarz. Zrazu nie mogłam otworzyć oczu, potem zaś wyciągnęłam instynktem rękę i uchwyciłam koniec warkocza, który mi Stella rzuciła na twarz.

Pochylona nad mojem łóżkiem, stała owa piękna dziewczyna, patrzała mi prosto w oczy, trzymała w ręku pęk róż i poprawiała, śmiejąc się, swe bujne, czarne włosy.

— No, Doro Paoli, spałaś dobrze? Widzisz, tak się budzą po raz pierwszy pensyonarki pani Beaumont w wili Bellevue w Vevey, nad jeziorem Genewskiem. Wcale nie źle, prawda? Podnieś głowę i patrz!

Rozśmiałam się i podniosłam oczy, ale jeszcze więcej musiałam się śmiać, gdy ujrzałam pochylającą się ku mnie Gretę; chciała się ona widocznie przekonać o kolorze moich oczu, chciała wiedzieć, czy Stella ma słuszność. Cała ich wczorajsza rozmowa przypomniała mi się natychmiast.

— Kto miał słuszność? — zawołała Stella z tryumfem. — Czy nie mówiłam ci, że czarne? Patrz, Doro Paoli, to jest Greta Rotenburg, nazwana „wzorem wszystkich cnót!“ Dano mi ją umyślnie, jąko wzór, godny naśladowania, chcąc, aby i umysły tak zagwożdżone, jak mój, miały przeczucie, że cnota jest na tym niegodziwym świecie czemś bardzo wzniosłem! Ten egzemplarz, a raczej wyskok najlepszych przymiotów, ma dopiero piętnaście lat, pochodzi z Wrocławia na Śląsku, miasta czystego rozsądku, ma ojca, który jest tajnym radcą i który sobie widocznie życzy, aby kochana jego córka kiedyś wyszła za jakiego kolegę jego. Nie przecz, Greto, on sobie tego życzy i czemu nie? A ponieważ owa perła w piętnastym roku życia już jest jaśniejącym przykładem całej pensyi, przeto przyszłość jej napełnia mnie pewnym niepokojem. Cnotliwszą i lepszą nie może się stać, a zatem pytanie: na czem się to skończy?

Sposób, w jaki Stella to mówiła, był tak śmieszny, że Greta, osoba bardzo poważna, przytem wysoka, tęga blondynka, śmiała się ze mną na wyścigi.

— Ale ty sama, Stello — zaczęłam nieśmiało — czy mogę mówić „ty?“

— Ach, naturalnie! Tutaj wszystkie mówimy sobie „ty“, z wyjątkiem „księżniczki“ i wróbla“, dla tych nie jest to dosyć „noble“. Chcesz usłyszeć mój życiorys? Muszę powiedzieć w krótkich słowach, bo inaczej przyjdę za późno na śniadadanie i dostanę karę. Więc: Stella de Marligne — wiek — siedmnaście lat — miejsce urodzenia — Paryż — ojciec, jenerał — piękny, wytworny, umarł przed sześciu laty — matka także umarła przed półtora rokiem — tu głos Stelli zadrżał lekko — równie piękna i bardzo wesoła — brat, oficer przy huzarach w Paryżu — opiekun i wuj także w Paryżu — bogaty, stary kawaler, gderliwy — skąpy, siostrzenicy i siostrzeńca nie bardzo kocha — Stella de Marligne tutaj w Vevey, aby się strasznie wiele uczyć — przyszłe powołanie jej — klasztor.

Wybuchłam głośnym śmiechem.

— Stella, zakonnicą — ach, to nadto zabawne!

— Nie myślałam, że umiesz się ładnie śmiać. Bardzo ci z tem do twarzy. Twoje czarne oczy mają zwykle taki poważny, smutny wyraz. Muszę cię często rozśmieszać — koniecznie. Ale co do klasztoru, to wuj rzeczywiście życzył sobie tego i zaproponował mi to z całem przekonaniem. Nie do uwierzenia! Spojrzał na mnie zdumiony, gdy mu się prosto w twarz rozśmiałam i oświadczyłam stanowczo: do tego powołania nie wybrało mnie niestety niebo — nie nadaję się pod żadnym względem na zakonnicę i żałuję, że życzenia wuja wypełnić nie mogę, ale zresztą, niech będzie o mnie spokojnym. Skoro tylko wyjdę z pensyi, uwolnię go jak najprędzej od kłopotu, gdzie ma umieścić moją przyjemną osobistość, to znaczy, że wyjdę wnet za mąż! W takim razie będzie nam obojgu dobrze. Spojrzał po raz drugi zdumiony na mnie i zapytał, czy wiem, że jestem zupełnie bez posagu. „Wiem o tem bardzo dobrze, mój panie wuju — odrzekłam mu — ale to nic nie szkodzi, ja już męża dostanę“. Wzruszył ramionami i mil

czał, najmędrsze co mógł uczynić. No, to mój życiorys — najgłówniejsza rzecz, że jestem siostrą mego brata.

— Teraz dosyć tego, Stello — zawołała Greta Rotenburg. — Ubierz się i pozwól wstać Dorze, wiesz, że madame nie żartuje.

— O, przeciwnie, ona żartuje, tylko jako wzniosła matka pensyonarek, jest zmuszoną nie okazywać nigdy, jeżeli ją jaki dowcip zabawi. To musi być okropnem! Już idę, szlachetna Greto! Powiedz Doro, jaki połysk mają właściwie twoje włosy złote, czy srebrny? Czekaj, rozplotę twój warkocz!

I zanim zdołam odpowiedzieć, już jej zręczne paluszki rozrzuciły moje włosy.

— Co za przepych! Jak panna morska! Greto, jak myślisz, są one złote?

— Tak, złote, ale przedewszystkiem myślę, że muszę się ubrać.

— Natychmiast! Doro, wstań tylko, weź spódniczek i spojrzyj na góry. Są one teraz w najpiękniejszem oświetleniu, i chcą naszej „nowej“ pokłon oddać. Przedstawiam ci tu naszego i najpotężniejszego sąsiada, Grammont — patrz, jak słońce całuje jego wierzchołek! Najlepiej jednak wygląda on wieczorem. Tam dalej, w dolinie Rodanu, to Dent du Midi, niosący siedmiopałkową koronę na swej głowie — pochyl się dalej, to go zobaczysz lepiej. Gdy chcemy widzieć szczyt Mont Blanc, to musimy mieć zupełnie jasne, pogodne powietrze i stać w ogrodzie. Ale piękne jezioro genewskie widzimy zawsze. O, jakie ono cudne, jak je kocham! Ach! Greto, już idę. Mam jeszcze powtórzyć angielskie czytanie? Ani mi się nie śni! Być może, że kiedyś zaświta w mojej głowie zamiłowanie do tego Szekspira, ale obecnie nie lubię go tak, jakby on mnie prawdopodobnie był lubił. Boże wielki, z tym i klasykami wogóle! Chciałabym tylko wiedzieć, ile mnie taki Koryolan zajmuje i jego Veturia i Volumnia i cała jego rzymska duma? Ja nie jestem Rzymianką i ciekawam, co w naszych czasach i stosunkach zacząć z takim niezdrowym patryotyzmem, co z niego się uczyć? To okropność! Że dziś nie będę umiała lekcyi, to tak pewno, jak dwa a dwa są cztery. „Stella, znów się nie nauczyłaś“, powie Angielka. Ona ma słuszność! A teraz adieu, Doro, obejrzyj sobie góry i baw się, podczas kiedy my walczyć będziemy z klasykami. No, Greto, jestem gotową. Gdzie moje książki? Pójdź o mój biedny Koryolanku, zobaczymy, co z tobą zrobią!

I wsunąwszy „Koryolanka“ pod ramię, skinęła mi Stella uprzejmie głowę i wyszła razem z Gretą z pokoju. Ubrałam się teraz czemprędzej i spojrzałam na nowy, nieznany mi, a tak wspaniale piękny świat. — Świeże, czyste powietrze napełniało pokój przez otwarte okno a woń dzikich róż, otaczających cały dom, dochodziła aż do mnie.

Na górach, gdzie słońce nie dosięgało, leżały niebieskie cienie — nad niemi krążył w powietrzu jakiś ptak, zapewne orzeł skalny. Spoczywał na szeroko rozciągniętych skrzydłach, dając się unosić prądowi wiatru. A wszędzie niezrównanie piękna zielona trawa, gdzie tylko oczy padną. Oddychałam głęboko, pijąc świeżość i woń i patrząc w niemym zachwycie na wszystkie te cuda.

Ciche puknięcie do drzwi przerwało moje marzenia. Była to służąca, wołająca mnie na śniadanie. Zastałam madame i ciotkę Ginę w pięknej sali jadalnej, której otwarte drzwi wychodziły na ogród. Zdawało mi się, że madame nie była dla mnie dziś już tak serdeczną i uprzejmą, jak wczoraj. Mimo całej grzeczności czułam z jej strony jakiś przymus, który mnie zadziwił — ale być może, że ciotka Gina opowiedziała jej historyę mego życia i dała pewne wskazówki co do mego charakteru. Nie mogło to naturalnie być pochlebnem dla mnie. Ciotka Gina oświadczyła zapewne, że jestem upartem, zaciętem, hardem stworzeniem, nawet „niebezpiecznem“ — jak mi to już raz w domu powiedziała.

Madame nie cieszyła się też widocznie na myśl posiadania takiej istoty przez kilka lat w swym zakładzie i nie czułam za to do niej żadnego żalu.

Przyszłość dała mi poznać, że domysł mój był słusznym.

Po śniadaniu musiałam zdać egzamin, aby madame wiedziała, do jakiej mnie przeznaczyć klasy. Na tym egzaminie, który mi był bardzo przykrym z powodu obecności ciotki Giny, zjawił się też pan Beaumont, wielki, zgrabny, wytworny człowiek, salonowiec w całem znaczeniu tego wyrazu. Uważał mnie za zupełnie dorosłą, co mnie bardzo rozśmieszało, nie byłam bowiem wcale do tego przyzwyczajoną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dobry apetyt! Zdrowy żołądek mamy, a żadnego gniecenia żołądka, żadnych boleści, odkąd używamy przeczyszczających pigułek rabarbarowych Fellera z marką „Elsapillen“. Mówimy Wam z doświadczenia, spróbujcie takowych także, one regulują stolec, ułatwiają trawienie. 6 pudełek franko 4 K. Wytwórcą jest tylko aptekarz E. V. Feller, w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya.

Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wtedy wyprostowała się i rzekła poważnie:

— Nazwiemy to: Kult pamięci! Dziękuję panu za akompaniament!

— Magda, gdzie się podział Filip? — zawołała majorowa, zaglądając przez drzwi.

— Posłałam go po fotografie z podróży. Mamy go z obiadem nie czekać, bo miał wstąpić do pracowni.

— Umh! do pracowni! — zamruczał Oryż, ale urwał, skarcony wzrokiem Magdy.

— Zawsze coś robicie nie w porę. Mógł to załatwić po obiedzie! — burczała majorowa, odchodząc.

— Nie wspominaj pan tej baronowej. Bo i poco! — rzekła artystka półgłosem. — To położenia nie poprawi, a rozdraźni ją niepotrzebnie i jego do nas zniechęci.

— Są ludzie, którym się wszystko wybacza, bo są albo niczem, albo wszystkiem. Jestem pewny, że Ocieski jest wszystkiem dla pani i będę już milczał! — odparł Oryż, ruszając pogardliwie ramionami.

— Byłeś pan dzisiaj u Boińskiej? — spytała, nie podnosząc kwestyi.

— Byłem. Okarmiliśmy chłopca i znowu się pogorszyło. Ale zna pani ich historyę?

— Nie, skąd-że?

— Ja znam ze wspomnień młodości. Mam w Buczaczu stryja księdzem. Tak, tak, to nie żarty. Posiadam aż tak świetne parentele! Wprawdzie mnie stryj cybuchem wygania z probostwa po godzinie rozmowy, ale to podrzędna kwestya. Otóż Boińscy byli sobie naszą poczciwą, nieopatrzną szlachtą i siedzieli na pięknej, ale zaszarganej fortunie. Siedzieliby dotychczas, gdyby im był z pomocą i opieką nie ofiarował się cny radca, ojciec baronowej Faustanger. Ten dobrodziej upodobał sobie ich majątek, stare gniazdo rycerskie z ruinami zamczyska, z legendą i nawet strachami. Nadzwyczaj romantyczne, średniowieczne wspomnienie i żywa legenda — taki był ów Sokolin, gdzie się gnieździli od czterech wieków.

Otóż radcy trzeba było koniecznie trochę rdzy i pleśni do świeżutkiego herbu i tytułu, więc zaopiekował się interesami Jana Boińskiego. Stary wpadł w jakieś zaślepienie, wierzył radcy, jak Bogu. Dał mu pełnomocnictwo, spełniał każdą radę, brał pieniądze, aż dnia pewnego dowiedział się, że Sokolin nie jego. Wtedy oszalał, bo kochał to gniazdo nad życie i nie widząc ratunku, popełnił krok desperacki: strzelił do radcy. Ale rusznica była też jakąś maszyną odwieczną — i tylko osmalił i wystraszył śmiertelnie swojego dobrodzieja.

Naturalnie radca narobił wrzasku iście żydowskiego i oddał mordercę sądom.

Gdy jednak żandarmi przyszli po starego, ten jeno zsiniał, zachrapał i nie ruszył do więzienia, ale na cmentarz. Powiedział pewnie sobie: nie głupim czekać sprawiedliwości, wolę dezercyę.

Został tedy syn, który świeżo się ożenił i o niczem nie wiedząc, spędzał miodowe miesiące na drugim folwarku. Zajechał na wieś po śmierci rodzica i otrzeźwiał rychło ze swojego miłosnego upojenia, gdy się dowiedział, jak się rzeczy mają. Zbuntował się na losy i pociągnął radcę przed sąd, czem mu tylko sprawę nabycia jeszcze ułatwił. Radca tak świetnie rzecz przedstawił, że po kilku miesiącach wydarł Boińskim nietylko majątek, ale i opinię.

Teraz około Buczacza wie każdy, że oni byli oszuści, brali pieniądze, sprzedali Sokolin i oczernili radcę: ojciec — prochem ze starej rusznicy, syn — niesłusznemi pretensyami.

Poszedł tedy Stefan Boiński w świat, a radca odrestaurował Sokolin i kazał sobie ich tarczę wymalować na powozie. Nikt nie protestował i tak się to utarło, że baronowa gotowa była przysięgać, iż ten herb praszczur jej zdobył pod Płowcami.

No, wprawdzie krwią go nie zapłacił, ale to tylko wina rusznicy, bo okazya była świetna zginąć śmiercią walecznych w obronie ideału i zasad!

— Więc ta kobieta jest synową starego?

— A tak. Stefan był sobie nieuk, jak przeciętny szlachcic, siedzący na roli. Po krachu stracił głowę i nie wiedząc co robić, wstąpił do wojska, a że lubił trąbkę, został w muzyce. Żona zarabiała szyciem. Nieciekawe było życie; aż się wreszcie przeziębił, kilka miesięcy pokwękał i kipnął. Wdowa chciała wrócić do stron rodzinnych; ma tam jakąś ciotkę starą, ale nie śmiała jej prosić o pieniądze na drogę, chciała je sobie zebrać... no i dalej sama pani widziała epilog. Byłem tam dzisiaj i rozpytywałem o szczegóły. Ta ciotka jest jawna sknera i gderaczka, bez protekcyi nie można do niej trafić, gotowa z przed bramy wypędzić. Otóż chyba napiszę do stryja księdza.

— Ano, to pisz pan, nie zwlekając.

— Aha, albo to on mi uwierzy? Posądzi o najgorsze, jak zwykle. Ja myślę, że pani napisać powinna.

— I owszem! Napiszę, iż dowiedziawszy się od pana o jego szlachetności i chrześciańskich cnotach...

— Ale zaraz! A to ci pani wpadnie! On będzie myślał, że to drwiny. Jabym miał klechę okarmiać takiemi słodyczami! Oho, tego on się po mnie nie doczeka. Niech pani nawet o mnie nie wspomina; to będzie skuteczniej. Proszę mu obiecać odnowienie fresków w kaplicy; na to się złapie! A najlepiej niech pani poradzi krótko i węzłowato, żeby tej starej dewotce nie dał rozgrzeszenia, jeżeli Boińskiej z dzieckiem nie przygarnie... i basta!

— Wie pan? może mu doradzić od razu, żeby ją wyklął z ambony! — śmiała się Magda.

— O! Niechby mnie tylko raz na ambonę puścił, jabym ich tam klął po węgiersku! Nieraz mu to proponowałem. Oho, żebym ja był na jego miejscu, piechotą by stara przybyła do Krakowa po siostrzenicę. Ale te klechy to nawet nie umieją głupoty ludzkiej dostatecznie wyzyskać.

— Wielka szkoda, ale ponieważ pana żadne seminaryum już nie przyjmie, więc kazanie pozostanie w marzeniu. A szkoda, poszłabym na nie! — Magda śmiała się serdecznie.

— Dzieci, na obiad! — rozległ się głos majorowej.

— To śmieszne, że na mnie po raz pierwszy w tej chwili zawołano: dziecko! — ozwał się Oryż, idąc za Magdą do jadalni.

— A jakże wołali na pana rodzice? — zagadnęła majorowa zdziwiona.

— Tego nie pamiętam, bo mnie zostawili sierotą w lat dwa. A stryj opiekun nazywał mnie rozmaicie: czasem hultajem, czasem gawronem, najczęściej brudasem lub zatraceńcem.

— Przecież łożył na kształcenie pana?

— Łożył, pókim mu nie umknął pewnego dnia, posłyszawszy, że chce mnie ulokować jako pisarza w sądzie. Ze strachu przed tą karyerą oparłem się aż w Dreznie. Prawda, że od tej pory do czasu, jakem panie poznał, nie byłem nigdy syty, ale też nigdym takiego strachu nie doznał! Brr, ja, pisarz sądowy!

Zaczął jeść prędko, niedbale, byle prędzej skończyć.

Magda zwróciła się do siostry.

— Zdaje mi się, że ty nalepiej załatwisz sprawę, o której przed chwilą mówiliśmy. Napisz list do proboszcza w Buczaczu o losie Boińskiej z prośbą, aby zawiadomił o tem jej ciotkę.

— Owszem. A ta ciotka ma środki!

— Śpi na reńskich, ropucha! — mruknął Oryż. — Jeżeli nie zrobi tego dla siostrzenicy, to ja ją wymaluję jako jędzę na łopacie i dodam bardzo ładne akcesorya na flamandzki sposób.

— Pfe! Zaczynasz pan! — oburzyła się majorowa. — Magda, czemu nie jesz? Toć zwierzyna!

— A prawda! Nie uważałam.

— Znowu pewnie coś nowego zaczęłaś smarować, bo już się stajesz nieprzytomną. Idź na spacer po obiedzie. Zmęczyłaś się widocznie.

— Nie. Muszę pracować dzisiaj. Wieczorem pójdę do Berwińskiej.

— Wieczorem Filip przyjdzie. Obiecał za godzinę wrócić.

Ruszyła ramionami.

— Zabawisz go sama. Dawnom Berwińskiej nie widziała, a to jest jedyna osoba, od której mogę się czegoś nowego nauczyć.

Majorowa wcale się nie obraziła, ale Oryż zaprotestował.

— Najwięcej mogłaby się pani odemnie nauczyć, ale pani mnie nie słucha.

— Jakto? Spojrzyj pan na portret! Przemalowałam go wedle pańskich wskazówek.

— Obeszłoby się! — mruknął zgryźliwie.

— Czegoż pan żąda więcej? Nie mogę panu dać przewodnictwa mej duszy, bo pan dowodzi, że duszy kobiety nie mają.

— Zaczynacie prawić herezye! — upomniała majorowa. — Co to za próżne zbywanie czasu, dysputy o czemś, co ledwie nam śmierć wyświetli! A ja powiem, że kobiety mają duszę, chociażby z tej racyi, że rozumieją ją w drugich, a mężczyźni uganiają się za cielesną pięknością.

— Otóż to: każde szuka tego, czego nie posiada — zaśmiał się Oryż. — Dam pani więcej przykładów, jeżeli pani zechce słuchać...

— Nie, nie chcę! — stanowczo zaprotestowała Osiecka. — Idźcie do pracowni. Magda może was słuchać z zimną krwią, ja nie!

Wyprawiła ich z jadalni, ale wnet zjawiła się w pracowni.

Była już ubrana, jak do wyjścia na miasto, z dużym koszem na ręku.

— Pamięta pan, gdzie mieszka owa Wikta, którą mi pan przyprowadził w zeszłym tygodniu?

— Spotkałem ją gdzieś w wiklinie nad Rudawą. Cóż, uciekła?

— Nie myślę. Może chora... — wahająco rzekła majorowa. — Umiała już litery do R i tak równe stawiała kreski, ale od onegdaj nie przychodzi.

— Szukaj wiatru w polu! Może ją pani odziała?

— Tak, trochę.

— Aha, to niech się jej pani nie spodziewa! A mówiłem, odradzałem odzienie... To ptaki dzikie. Tylko głód, nagość — utrzymają je w szkole. Ale niema ratunku na utopie pani.

Majorowa, zupełnie pobita, nie próbowała się bronić. Stała zasmucona i jakby się wstydziła za swoich wychowańców.

— Wiktę ja pani odnajdę jutro. Ojciec, pijak, już ją pewnie odarł z ubrania, więc wróci pokorna, bo coraz chłodniej nocować nad rzeką. Jest ich tam cała banda w tych krzakach. Żyją jak wróble.

— Wybiorę się kiedy z panem na eksploracyjną wycieczkę.

— Choćby dzisiaj, bom paniom tu niepotrzebny.

Mówił obojętnie, ale Magda w głosie jego poczuła żal i smutek.

— Nie, zostań pan. Lubię, gdy mi pan czyta głośno przy robocie.

— No, zatem zamawiam sobie pana na jutro! — rzekła majorowa, wychodząc.

Gdy zostali sami, Oryż stanął w oknie i zawzięcie ogryzał paznogcie. Magda, nie zważając na niego, usiadła do stalug.

Nagle Oryż się odwrócił i rzekł ze złością:

— Po co mnie pani zatrzymała? Pani lubi przy robocie ciszę i samotność, a wcale nie czytanie. Pani to uczyniła przez litość nademną lub przez złość na Osieckiego.

— Nie zmuszałam pana. Może pan odejść — rzekła spokojnie.

— Cóż z tego? Odejść mogę, ale wrócić muszę. I to mnie do pasyi doprowadza. Ja nie cierpię musu. I nie potrzebuję, żeby się pani nademną litowała. Mnie jest bardzo dobrze w knajpie.

— Wierzę, ale ponieważ pan mi miał czytać, więc czekam. Weź pan którą z tych książeczek na półce i zaczynaj.

— Nie, pójdę sobie!

Wyszedł. Magda poruszyła brwiami i malowała pilnie. Twarz jej, zamyślona i poważna, miała w sobie spokój skupienia i łagodnego smutku. Gdy ją porywało natchnienie twórcze, rzeczy ziemskie i ludzkie malały w jej oczach i myśli. Co najwyżej dziwiła się, że to może aż tak dalece ludzi obchodzić i wzruszać.

Zatopiła się w swojej pracy tak zupełnie, że nie zauważyła, jak po kwadransie do pracowni wszedł znowu Oryż.

Popatrzył na nią z pod brwi, nieśmiało, podszedł do półki, wziął książkę z wierzchu i przysiadłszy na kanapce, jął czytać ze środka, nie spojrzawszy nawet na tytuł:

„Wyjechał z małą asystencyą, biorąc jednego z senatu Nerwę, biegłego w prawie, a z rycerstwa dwóch tylko...“

— Kto wyjechał? — zagadnęła Magda, oglądając się.

Oryż zajrzał na poprzednią stronicę:

— „Tyberyusz“ — mruknął i czytał dalej jak maszyna:

„Sejana i Kurcyusza Attyka. Reszta się składa z mędrków, których rozmowami dla rozrywki się bawił. Po wyjeździe jego świadomi niebieskich obrotów powiadali: „że pod takim aspektem wyjechał, który mu powrotu nie rokuje“.

Magda mimowoli wybuchnęła śmiechem.

— Pani teraz drwi ze mnie! — zawołał Oryż.

— Bardzo się owszem cieszę, że pan nie pod takim „aspektem“, jak Tyberyusz, wyjechał stąd.

— Wcale nie z ochoty wróciłem, ale dojrzałem z daleka Sylwestra z Finkiem i uciekłem przed nimi.

— Pewnie pan znowu Finkowi spłatał figla z ilustracyami?

— Czarna dusza wydawcy. Onby chciał, żebym mu pracował jak parobek. Ja go oduczę!

— Co mu pan miał ilustrować?

— Albo ja wiem?! Dał mi książkę, alem jeszcze do niej nie zajrzał.

— Jakże tak można? Przynieś ją pan tutaj. Przeczytamy razem i gawędząc, będziemy pracowali. Ustąpię panu stołu pod oknem do roboty.

— Aha, przynieś książkę. Kiedy jej już nie ma. Onegdaj był u mnie komornik i zostawił w budzie tylko grzebień i poduszkę.

— Cóż będzie?

— Albo ja wiem! Niech o tem myśli Fink, który mi dał zaliczkę.

— To idź pan do niego i opowiedz zdarzenie.

— Eh, nic pilnego. Mam jeszcze obiad zapłacony do końca września. Jak będę głodny, to przyślę. Wziął znowu książkę i czytał:

„Atoli sam skutek uiścił, że sztuka z fałszem o ścianę chodzi, a prawdę ciemnotami gmatwa; bo gwiazdarze, zgadłszy po części o niepowrocie jego do miasta, reszty sami nie wiedzieli, że się po bliskich wioskach i brzegach, często pod samemi murami przejeżdżając, ostatniej starości miał dopełnić".

Dzwonek w przedpokoju przerwał czytanie i po chwili do pracowni wszedł Filip, obładowany paczkami.

— Tak cicho! — zaśmiał się.

Magda wstała i poznajomiła ich z sobą. Podali sobie dłonie, mierząc się badawczym wzrokiem.

— Co za małpa! — pomyślał Filip.

— Co za lala! — pomyślał Oryż.

— Przyniosłem cały mój artystyczny bagaż z podróży! — rzekł Osiecki, rzucając na ziemię wszystkie paczki, oprócz jednej, którą podał Magdzie.

— A tom dla ciebie dostał.

Rozwinęła papier, potem szmat wschodniej materyi i odkryła skrzynkę drewnianą, nabijaną ślicznie srebrem i złotem, z wersetem jakimś arabskim na wierzchu.

— Śliczne cacko! Dziękuję ci! — ucieszyła się.

— Nie ciekawaś, co zawiera?

Otworzyła, a wtedy na pościółce z białego pustynnego piasku ukazał się kłębek szary, jakby perzu splątanego.

— A, jerychonka! — zawołała, a skronie jej pokryły się rumieńcem.

Filip patrzył na nią z uśmiechem i widocznie czekał, żeby spojrzała na niego. Ale ona wydobyła roślinę i oglądała ją w milczeniu, a potem odłożyła napowrót i rzekła zwykłym, trochę drwiącym tonem:

— Dziękuję ci, żeś zapamiętał moją fantazyę. Ja sama nawet jużem o niej zapomniała.

Na sekundę Filip spochmurniał, ale wnet znowu się uśmiechał i podając jej drugą paczkę, rzekł:

— Zapamiętałem też fantazye stryjenki. Przywiozłem jej z Jerozolimy relikwie.

Oryż wstał, książkę złożył i zaczął się żegnać.

— Idźże pan do Finka i dostań tę książkę. Jutro ją przeczytamy — rzekła życzliwie.

Zaledwie wyszedł, Filip wybuchnął śmiechem:

— Ładnegoś sobie wybrała rycerza! Toć karykatura!

— Nie jestem królową i nie mam, ani mieć pragnę rycerzy. Oryż jest mi tak dobrym kolegą i towarzyszem, jak każdy z was.

— Jak i ja? Może sobie mówicie po imieniu?

— Tobyś słyszał. Tobie mówię po imieniu z nawyknienia dziecięcego, a jemu mówiłabym wyjątkowo... jednemu. Nie doszło jeszcze do tego!

— Całe miasto mówi, że się kochacie, że on od ciebie nie wychodzi.

Magda zmarszczyła brwi.

— Całe miasto... to baronowa. Słuchajno, ja nigdy o nikim źle nie mówię, i życie moje czyste, jak kryształ. Niech ona mnie nie tyka, ani się mną zajmuje! Ja za ciebie się nie ujmę, a jednak, jeśli mnie oszkaluje, sama to odcierpi. A ty mi nie mów podobnych rzeczy, jeśli chcesz tu wrócić!

— Nie poznaję ciebie. Nauczyłeś się ostrej mowy i szyderstwa. Nie dbasz już o mnie ani trochę.

— W każdym razie więcej, niż ty o mnie, a nawet niż ty sam o siebie. A zresztą dwa lata nie mijają bez śladu. Dojrzałam i postarzałam nawet Tyś bawił się i używał... ja pracowałam i myślałam. Rozeszliśmy się daleko. Teraz szalejesz i toniesz w szczęśliwości. Nie staraj się mnie zrozumieć! Wiesz, żem ci szczerze życzliwa i że cię za brata uważam. Ale o mnie ze swoją baronową nie mów; to sobie zastrzegam, bo stąd wyniknie to, że stracisz jedyną wierną ci duszę i dłoń szczerą, a jabym chciała, żebyś mnie zachował... na ciężką godzinę!

— Magda, mówiłaś inaczej, ongi, w Rzymie! — rzekł z uśmiechem, zaglądając jej w oczy.

— Dziwię się, że pamiętasz, gdy ja nie wspominam!

— Pamiętam i zły jestem, że ktoś zajął moje miejsce.

— A tyś moje zachował? Wiesz, nie cierpię podobnej rozmowy i nie rozumiem ciebie! Wczoraj wybrałeś mnie za powiernicę swojej miłości... dzi-

siaj przypominasz sobie stare historye i gniewasz się, żeś mnie stracił! Powinieneś być rad mojemu zapomnieniu.

— Bynajmniej. Kochałaś mnie, teraz drwisz! To mnie złości.

— Wolałbyś zatem, żebym ci urządziła scenę z melodramatu i oblała witryolem baronową? Co to, to nie, mój drogi. Ustępuję jej z drogi i żadnej pretensyi nie roszczę ani do ciebie, ani do niej!

— Więc jestem już niczem dla ciebie?

— Nie będę drugą! Ale co ci jest? Musiałeś mieć jakąś przykrość od niej?

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, ale czuję.

Filip usiadł na fotelu i oburącz głowę objął. Długi czas milczał.

— Ona jest okrutna! — wybuchnął wreszcie. — Rano była uosobieniem dobroci: widziałaś sama. Teraz była jak oset koląca. Drwiła, szydziła, drażniła jak psa. Na rozstanie powiedziała, że jestem monotonny.

Magda się roześmiała.

— Więceś ty z rozpaczy do mnie przyszedł? Ano, trzeba było od tego zacząć i prosić o radę, zamiast o afekty, których masz i bezemnie dosyć. Jeśliś monotonny, idź do pracowni i weź się do obrazu. Nie pokazuj się dni kilka, staraj się zająć sztuką, stwórz arcydzieło. Musisz jej imponować, jeśli chcesz ją dłużej posiadać.

— Jak ty myślisz, czy ona mnie kocha? — spytał niespokojnie, wzrokiem ją błagając, by potwierdziła.

— Kocha, kocha! — rzekła tonem, jakim się dzieci uspokaja. — Ale pamiętaj, że ona kocha wielkiego artystę; dla niej powinieneś być wielkim i sławnym, dogodzić przecie i jej próżności kobiecej. Pomyśl, jak dumną będzie, gdy setki, tysiące chwalić cię będą i zachwycać się tobą.

— Masz racyę! — zawołał, prostując się. — O, jakaś ty dobra! To prawda. Rzucę jej pod nogi sławę i honory: niech po nich depce, królowa.

Zerwał się, odkrył portret i wnet ognie uderzyły mu do oczu, ramiona do niej wyciągnął.

— O, ty moje bóstwo! — wyszeptał.

Magda patrzała na to z dziwnym swym uśmiechem. Z kogo drwiła w tej chwili: z niego, z baronowej, czy z siebie samej?

Gdy się do niej odwrócił, już odzyskała humor i nucąc, zbierała pendzle.

Czerwony zachód wdzierał się do pracowni, a po kątach leżały już cienie. Robota była skończona dzisiaj.

— Jutro od świtu biorę się do dzieła! — rzekł Filip. — O, dziękuję ci! Dodałaś mi otuchy. Byłem bliski rozpaczy, szalony.

— Oczywiście, kiedyś już nawet mnie amorami swojemi częstował. Chcesz? pójdziemy razem do twojej pracowni.

— Dobrze. Pomożesz mi urządzić się!

Wyszli.

Wieczór był bardzo ciepły i pogodny, a Filip się ożywił i rozmawiał wesoło.

Magda była z siebie rada, a jednak czuła, że jej ciężko i nudno. Spoglądała po starych murach, które tak lubiła i wydawały się jej ponuremi; słuchała dzwonów i brzmiały jej fałszywie; uśmiechała się do spotykanych znajomych, a bolał ją uśmiech sztuczny; Filip opowiadał zdarzenia śmieszne z podróży, a zajęcie było powierzchowne; miała w duszy cierń, który jej nieznośnie dolegał, musiała o nim myśleć, a nie mogła tego okazać.

Weszli do pracowni.

Filip się obejrzał i skrzywił. Istotnie, była to stancya ciasna i źle oświetlona, umieszczona bardzo wysoko.

— I ja tu mam malować? — rzekł, od razu zniechęcony. — Przecie tu łokciom nawet za ciasno! Gdzież pomieszczę moje makaty i skóry i wazony? Pfe, tu nikogo porządnego przyjąć nawet nie sposób. Ja tu i godziny nie wytrzymam. Laską potrącił parę szkiców.

— A to czuć szkołą o milę. Wstrętne! Trzeba tem w piecu napalić!

Magdzie podobał się ten zapał i zajęcie. Patrzała pobłażliwie, jak Filip zaczął ze stołów i ścian ściągać kartony, teki szkiców, stosy papierów i układać to przed piecem.

— Spal, ale pamiętaj, że powinieneś za to stworzyć arcydzieło! — rzekła, gdy płomień buchnął i łapczywie pożerał rezultat długiej nauki i marzeń młodzieńczych.

Filip zamyślił się, patrząc w ogień.

— Stworzę! — szepnął. — Dla niej muszę być sławnym.

Jakaś myśl przelatywała mu pod czaszką.

— Wiesz? Zacznę jutro. Będzie to „Salamandra". Widzę ją: płomienie, a w nich tańcząca kobieta. One jej nie palą, lecz pieszczą, nie niszczą, lecz upajają, a ona, jakby owładnięta rozkoszą, w nie się owija, do nich się tuli, z niemi igra zalotnie.

Magda słuchała, napół rada, że przecież ocknęła się w nim twórczość, napół przerażona zmysłowością tego pierwszego natchnienia. To nie był dawny duch Filipa, którego ongi we Wło-

szech podniecały freski Fra Angelica, który w zamyśleniu szkicował twarze ascetów lub eteryczne aniołki i stawał w zachwycie przed mnichem zamodlonym lub lampą, palącą się w niszy przed Madonną. Teraz to widziadło, które wyszło mi z myśli pod wrażeniem ognia i wewnętrznego usposobienia, miało pogańską lubieżność i dech szału i było kultem ciała i krwi, a zatraceniem ducha. Widziała i ona je, przeczuwała i była pewną, że ma rysy baronowej i jej urok niebezpieczny i niezdrowy. Nie przecząc mu i nie przerywając, podeszła do stalug i odkryła rozpoczęty przed dwoma laty obraz Filipa.

Szmat słońcem oblanej pustyni, na niej trochę kaktusów i przy drodze muzułmański grobowiec. Na progu postać pątnika, który, śmierci niedaleki, zwraca oczy i ramiona na daleki horyzont, gdzie majaczeją, jak we śnie, kopuły i krzyże, a on do nich już nie dotrze — tu mu zgon zakończy pielgrzymkę. Nazwał to niegdyś Filip „Ślub niespełniony", potem przezwali już wspólnie: „W przeddzień tryumfu" — było to jakby ich wspólne dzieło, bo mu towarzyszyła często przy pracy i mówili o tem płótnie wiele i miało ono stanowić o przyszłej karyerze Osieckiego.

Teraz karyery nie potrzebował, był bogaty. Magdzie było jednak bardzo smutno, gdy patrzyła na tę pamiątkę przebrzmiałych marzeń i nadziei.

Filip zbliżył się do stołu, popatrzył i sięgnął po nóż.

— I to w ogień! — rzekł. — To jest ohydne. To nie pustynne, gorące światło, to nie powietrze Palestyny. To jest oszukaństwo, fałsz... jeden wielki błąd. Do pieca z tem!

— Nie, daj pokój. Wezmę to sobie. Tu jest wiele ducha. Lubię to!

— Weź, ale nikomu nie pokazuj, bo mi wstyd! No, rozumiesz, że tu zostać nie mogę Daruję ci wszystką tę mizeryę, a za tydzień zapraszam cię do nowej pracowni.

Obejrzał się raz jeszcze wokoło.

— Nic z tego nie wezmę. Tandeta i nędza Chodźmy z tej nory!

— Idź sam i przyślij mi posłańca. Zabiorę stąd parę rzeczy i odeślę do siebie. Co do pracowni... weź tę po Wiklickim, który po wakacyach wyniósł się do Monachium. Na plantach, w domu Szmita.

— Dobrze, bylem miał porządny przytem apartament.

— Rozpytam jutro Oryża. Bądź zdrów... idziesz do Maryni, to jej powiedz, że wstąpię do Berwińskiej.

— Wracajże prędko, bo co ja tam będę robił bez ciebie? — rzekł tonem grymaśnym.

Gdy wyszedł, Magda zagasiła ogień, zebrała niedopalone papiery, zakryła obraz i obejrzawszy się po izbie, ruszyła wprost do właściciela domu.

W kilku słowach załatwiła interes. Pracownia przeszła na jej własność, umówiła się o cenę, zapłaciła za kwartał z góry, wzięła kontrakt, zgodziła stróża, aby pilnował całości i opału, i poszła stamtąd, nie mogąc się pozbyć uczucia, że wraca z pogrzebu swojego szczęścia i ducha Filipa.

Wieczór już był i gaz się palił. Minęła parę uliczek i znalazła się przed starem domostwem z ogrodem, gdzie się mieściła piwiarnia. Niesforna muzyka napełniała całą posesyę dźwiękami walca, w przerwach dźwięczały kufle i huczał gwar ludzki.

Magda z podwórza weszła do oficyny drewnianej i zapukała do drzwi lewych.

— Zaraz, zaraz — odpowiedział kaszlący głos i po chwili otworzył jej staruszek suchy i mały, posiadający jednę tylko... lewą rękę.

— A, to pani! — zawołał radośnie. — Dopiero Helenka wróciła. Proszę, proszę! Ja jej obiad przygrzewam.

— Cóż to? Państwo znowu bez służącej?

— Nie wystarcza — rzekł z westchnieniem. — Ja stary, niedołęga, do niczego, więc chociaż domem się zajmę. Tyle wygranej, że czas mam zajęty i nie tak wstyd żyć. A zawsze Helci lżej!

Podreptał do kuchenki, z której zalatywała woń jedzenia ubogich; Magda poszła dalej.

W drugim pokoju, przy stole, nad którym wisiała lampa, Helena Berwińska, pochylona, rozcinała etykiety do wina w wielkich, wilgotnych jeszcze arkuszach.

(Ciąg dalszy nastąpi.



:: HUMORYSTYKA ::

Uspokoił go.

— Panie dobrodzieju, już po raz dziesiąty przychodzę do pana po należytość za buciki — pomyśl pan, że na trzecie piętro.

— Uspokój się pan! Od pierwszego przeprowadzam się na parter.

Oświadczyny.

On: Powiedz mi, panno Eufrozyno, czy chcesz zostać moją żoną.

Ona: A czy pan pozwolisz mi robić to, co mnie się podoba?

On: Tak jest, zawsze i wszędzie!

Ona: I matkę moją zatrzymać przy sobie?

On: Owszem, bardzo chętnie!

Ona: Klucza od bramy nie będziesz żądał?

On: Nigdy, wrzucę go do Warty!

Ona: Nie będziesz pan grał w karty?

On: Nigdy!

Ona: Na kolacyę przyjdziesz pan zawsze punktualnie?

On: Będę punktualny na minutę!

Ona: No, to żałuję bardzo, ale takiego pantoflarza ja nie chcę!

Co lepsze.

— Co ty wyrabiasz, mój Wojtku, miałeś się żenić z Kaśką, a tu ogłaszają twoje zapowiedzi z Maryną.

— A jeno, nie głupim, Kaśka ma tylko wieprzaka, co go nie będzie czem paść, a Maryna ma dziesięć korcy posagu czystemi kartoflami, to przy kochaniu będzie co w gębę włożyć.

Po kupiecku.

Konkurent: Jakto, więc pani nie wierzy, że panią kocham? Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli łżę?

Bogata panna: Ależ panie, pan stajesz się nieprzyzwoitym.

Konkurent: W sprawach pieniężnych nie ma mowy o przyzwoitości!

I to racya.

— Ba, żebyś był oszczędnym i zamiast całego obiadu, tylko pół jadał, to byś dziś posiadał piękny grosz...

Pi! żebym tak w dodatku w jednym bucie chodził, skacząc na jednej nodze — to bym uzbierał kapitalik!

Na podwórzu koszarowem.

Feldfebel (do bardzo chudego rekruta): Człowieku, wyglądasz, jak kalendarz ścienny 31 grudnia!

W sekrecie.

Pewna kobieta powierzyła drugiej jakąś tajemnicę i dodała:

— Ale proszę was, milczcie o tem, by się nikt nie dowiedział.

— Bądźcie spokojni, będę milczała jak wy.

Pomiędzy przyjaciółmi.

Antek: Świerzbi mnie lewa ręka. Cóż to znaczy?

Franek: Dostaniesz od kogoś pieniędzy.

Antek: Może masz i racyę, kolego... Wiesz co, pożycz talara!

Zgodny.

— Mój mężu, oświadczam ci stanowczo, że bez nowej sukni ani krokiem nie ruszę się z domu.

— Właśnie spełnisz moje najgorętsze życzenie.

— Tak, więc na złość będę całemi dniami chodziła po mieście w starej sukni.

Czyli czasem pewien mąż nie daje kursu astronomii swej żonie? — gdyż jej często znaki niebieskie pod oczyma robi.



KNAPIŃSKI

Zakład własny
wyrobów ortopedycznych
Ludwika Knapińskiego
dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga
do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, **prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.**

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom współdzielczym, przemysłowym i gólno-ekonomicznym

Wydawcą tego pisma jest **„Związek Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych“** we Lwowie plac Smolki l. 4. działający w porozumieniu z Komisyą krajową dla spraw przemysłowych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym Związkiem przemysłowym i innemi wybitniejszemi organizacyami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austryi rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.
Redakcya i administr. Lwów, pl. Smolki 4

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym

„Tygodniku Narodowym“.

„Krajowy Kolejarz“

centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go każdego miesiąca, zawiera:

Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy i kronikę z życia kolejarskiego

Przedpłata wynosi rocz. **2 Kor.** półrocz. **1 Kor** - - - - - kwartalnie **50 hal.** - - - - -

Przedpłatę przesyłać należy do
Administracyi „Krajowego Kolejarza“
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.

Ogłaszajcie w polskich gazetach!

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Reklamy.

Cierpiącym zwracamy uwagę na ogłoszenie *Contrheuman*, przez lekarzy zapisywany i bardzo skuteczny preparat.

Cierpicie bóle? Reumatyczne, podagryczne ból głowy, zębów? Nabawiliście się czego przez przeciąg, zaziębienie? Spróbójcie jednak uśmierzającego bóle, gojącego, wzmacniającego fluidu Fellera z marką „ELSAFLUID". Jest on rzeczywiście dobry! Nie jest to reklama! Próbny tuzin 5 koron franco. Wytwarza tylko aptekarz Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya.

„KUPIEC POLSKI"

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

"Kupiec Polski" omawia sprawy kupiectwa wszyskich dzielnic polskich.

Ogłoszenia w „Kupcu Polskim" najlepiej się opłacają.

„Kupiec Polski" obfitością treści przewyższa nawet fachowe pisma niemieckie.

"Kupiec Polski" ma czytelników we wszystkich sferach i dzielnicach Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austryi 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz·
„ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
„ w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła" jest najstarszem pismem pedagogicznem w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszerne informacye o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna" podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjętacyę w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO,

miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności,

wychodzi we Lwowie pod redakcyą Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną", przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły" wynosi:

rocznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej" wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:
Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Redaktor odpowiedzialny Henryk Mierkiewicz w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

8

niezmiernie ciekawych

powieści

Tajemnice wielkiego miasta
na tle głośnych wypadków (430 stron)

Złośliwy figiel - Czerwonym szlakiem
na tle dziejów Szertok Holmesa (320 stron)

Róża czarna i róża biała
na tle stosunków amerykańskich (240 stron)

Skarb więźniów - Przygoda greka

Tańczące znaki i Samotna cyklistka.

Wyżej wymienione nadwyraz interesujące powieści

zamiast 13 Kor. 70 hal.

po wyjątkowej cenie **7 Koron**

wysyła franko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

„GWIAZDA"

Poznań,
ul. Wilhelmowska nr. 11.

„Przewodnik Kółek rolniczych“

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we **Lwowie, ul. Kopernika 11.**

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“ celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Dyplomy honorowe:
Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplomy honorowe:
Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15 6

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro,

Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój obficie i jedynie w towary, doborowe zaopatrzony Skład i pracownię jakoto: Futra dam., Rotundy, Żakietky, Saka, Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie, Spacerowe i podróżne, Marynarki, Surduty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane oraz wszelkie przybory w zakres ten wchodzące, oraz wielki wybór, Serdaków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym celu magazyn posiada wielki **Wybór materiałów** z fabryk krajowych, jak również angielskich.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych
St. Niemczyk
6 KRAKÓW L. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI“

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.
PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY,
Rok założenia 1904.
Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.

Inżynier LEONARD NITSCH i Spółka, Kraków, ul. Kolejowa 18

projektują i wykonują:

Wodociągi dla miast, gmin, folwarków, fabryk, ogrodów, gmachów publicznych, domów prywatnych i t. d.

Poszukiwanie i uchwycenie źródeł. — Wiercenie studzien. — Ustawianie pomp. — Instalacye domowe z klozetami, łazienkami i t. d. 6

Centralne ogrzewanie wszelkich systemów i wentylacye. — Łaźnie. Mechaniczne pralnie. Suszarnie i t. d.

Najlepsze referencye z dotychczas wykonanych robót. — Kosztorysy bezpłatnie.

Sandały Kneipowskie

poleca najtaniej

Bazar krajowy w Krakowie Rynek główny l. 20.

Kilimy krajowe

poleca

:: **magazyn bielizny** ::

i

:: **konfekcyi męskiej** ::

Braci Bilewskich

w Krakowie.

Magazyn i Pracownia sukien męskich

MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA

Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon latowy wielki wybór materyałów

modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34

Poleca obficie zaopatrzony magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownie, przyjmuje do reperacyi maszy do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

Pierwszy zakład bandażo-ortopedyczny

HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podworcu)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.
Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.
Przyrządy do równania różnych części ciała.
Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, watę, aparaty inhalacyjne, suspensorya i t. p.
Pasy hygieniczne miesięczne systemu Teufla.

LAWN - TENNIS, RAKIETY, PIŁKI, PIŁKI NOŻNE, 6

Przybory do rybołóstwa.

PERFUMY, MYDŁA i PUDRY, kraj., franc. i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryańska l 36, I. p.

Kraków, ulica Zyblikiewicza 9. Telefon 796.

MECHANO LECZNICZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącem powietrzem. — Mięsienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gośćca, aryrtzmu i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz. Dr. M. Staszewski. Dr. Zygmunt Wachtel. 5

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolić tutki cygaretowe

„Framos"

z watą „SALVESOL"

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku 13

„WATA SALVESOL"

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia **nikotyną**, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol".

Oryginalny pakiecik „Waty Salvesol" wystarcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos" 3 korony. 10 cygarniczek 1 kor. 20 hal. Pakiecik waty „Salvesol" 30 lub 60 hal. 6

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris"

Mr. W. Bełdowski, Kraków.

PRZYJACIEL LUDU

ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

redagowany przez posła Stapińskiego

jest najpoczytniejszem pismem ludowem

(nakład 18 000 epz.).

Wychodzi regularnie raz w tygodniu.

kosztuje:

w Galicji i Austro-Węgrzech .	**4** korony
do Królestwa Polskiego i Rosji	**2** ruble
do cesarstwa niemieckiego .	**4** marki
do Ameryki, Rumunii, Danii i innych państw europejskich	**5** koron

PRZYJACIEL LUDU

ma największe zaufanie u włościan i dlatego ogłaszanie się w „Przyjacielu Ludu" przysparza pewnych odbiorców.

Cena ogłoszeń według umowy.

Adr. „Przyjaciel Ludu" Kraków, ul. Krótka 6.